MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 6. WARSZAWA, 9 LUTEGO 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

POSZERZENIE OJCZYZNY

LATA niewoli, przedewszystkiem ostatni jej okres po upadku powstania styczniowego, doprowadziły w polskiej psychice zbiorowej do zubożenia, a poczęści nawet wynaturzenia właściwej treści pojęcia „narodu“ [1]). Pozbawieni najważniejszego narzędzia, przy którego pomocy naród może skutecznie wpływać na kształtowanie się historji świata, pozbawieni własnego państwa, zatracaliśmy w naszej świadomości narodowej poczucie tego, co najistotniejsze, mianowicie, że naród — to zbiorowość solidarna poprzez pokolenia, zjednoczona duchowo wspólnością dokonanych przez się czynów dziejowych, oraz wolą dokonywania ich pospołu w przyszłości. Przymuszeni przez politykę wynarodowiającą państw zaborczych do obrony najelementarniejszych, etnicznych już tylko cech naszej odrębności: języka, obyczaju polskiego i t. d. — niepostrzeżenie przyzwyczajaliśmy się widzieć Polskę wyłącznie na jej terytorjum ściśle etnograficznem, coraz mniej uważając się za w pełni uprawnionych gospodarzy całego przekazanego nam przez przeszłość naszą dziedzictwa. I kiedy Państwo Polskie odbudowane zostało w obecnych jego granicach, dla niektórych Polaków zaczęło się już ono wydawać za wielkie, za obszerne na jeden naród polski, wobec czego jęli snuć pomysły federalistyczne, plany stworzenia z dzisiejszej Rzeczypospolitej spółki kilku narodowości, podobnej do Austrji przedwojennej. Nietylko wszakże samobójcze projekty federacyjne, wszystkie wogóle błędy polityki polskiej we wschodniej części Państwa w ciągu minionego dziesięciolecia mają za główne źródło właśnie owo zacieśnienie pojęcia polskości i skurczenie ambicyj polskich, pozostałe po czasach niewoli.

Nie chodzi tutaj oczywiście wcale—w pobieżnym wywodzie — o usiłowanie naszkicowania choćby kilku wytycznych programu w sprawie tak trudnej i zawiłej, jak zagadnienie polityki narodowej na ziemiach wschodnich. Chodzi jedynie o wskazanie na konieczność postawy psychicznej, bez której wogóle stworzenie jakiegokolwiek rozumnego programu w tej kwestji jest niemożliwe, o właściwy stosunek do rzeczy, wypływający z poczucia przynależności do wielkiego narodu, władcy i gospodarza we własnem Państwie, jak długie ono i szerokie. Tylko patrzenie na Polskę, jak na naród wielki, tak naturalne u pokolenia najmłodszego, wychowanego już w państwie niepodległem, tylko wiara w Polskę i w jej wielką przyszłość pozwalają ogarnąć całość położenia i odnaleźć kierunek, w którym iść trzeba.

Żaden wielki naród w Europie dzisiejszej nie jest jednolity pod względem etnicznym, wszystkie powstawały historycznie z zespolenia się rozmaitych plemion i szczepów. Anglja, Francja, Hiszpanja, Niemcy, Włochy posiadają prowincje, posługujące się odmiennym językiem, niż reszta kraju, przyczem owe różnice językowe bywają tam niekiedy o wiele większe, aniżeli pomiędzy ruskim lub białoruskim a polszczyzną. Prowincje te posiadają częstokroć wielką przeszłość, wspaniałą tradycję dziejową, w językach ich i narzeczach istnieje nieraz piękna i bogata literatura, dawna i współ-

[1]) Artykuł poniższy jest częściowo streszczeniem przemówienia, wygłoszonego na Zjeździe Młodych Obozu Wielkiej Polski (dzielnicy lubelsko-wołyńskiej) w Lublinie dnia 26 stycznia r. b.

czesna. Nie mniej wszakże ponad temi odrębnościami i przywiązaniem do nich, jest jeszcze umiłowanie wspólnej cywilizacji narodowej, wspólność dążeń historycznych, wysiłków i ambicyj, i nikt napewno nie uważałby np. Prowancji i jej mieszkańców za kraj choć cokolwiek mniej francuski, aniżeli departamenty Francji środkowej i północnej. Przed stu dwudziestoma laty, kiedy świeża była tradycja dawnej niepodległości, podobnie bywało także u nas; i w tych czasach, jak zaświadcza Mickiewicz, „wpadało się” do dalekiej ziemi nowogródzkiej, „do Soplicowa jak w centrum polszczyzny...” Dzisiaj połowę terytorjum państwowego radziśmy uważać za „kresy”, na których polskość jest jakby jakąś egzotyczną roślinką na obcym gruncie, hodowaną przez jednych, wyrywaną niemiłosiernie przez drugich!

Z faktu, że całą wschodnią część Rzplitej uważamy za taką samą Polskę, jak reszta Państwa, wynika nietylko dbałość o jaknajpełniejszy, wszechstronny rozwój tych województw, troska o ich bezpieczeństwo i dobrobyt, nie pozwalająca np. na traktowanie ich jako terenu kolonizacyjnego i eksploatacyjnego dla żydów [2]). W założeniu tem zawarte jest również stwierdzenie, że odrębności kultury ludowej tych ziem nie są nam nienawistne, ale przeciwnie widzimy w nich wartościowy wkład w całokształt naszej cywilizacji narodowej. Pieśni i dumki ludu ruskiego, malownicześć jego stroju i obyczaju, szczególny urok pejzażu tych krain, piękno ich legend i tradycyj — od stuleci już są jednym z ulubionych motywów polskiej twórczości, i rusin czy białorusin w niej przedewszystkiem, w polskiej literaturze i sztuce odnaleźć może zwierciadło, piękniej stokrotnie i doskonalej odbijające czar jego rodzinnego kraju, niż proza Kociubińskiego [3]). Jako Polacy nie będziemy też pragnąć bynajmniej, żeby fartuchy i wyszywane koszule huculskie zastąpione zostały przez międzynarodowy ubiór miejski lub... wełniak łowicki, żeby kobza doszczętnie wyparta była przez gramofon, a kołomyjka przez tańce nowoczesne lub choćby... mazura. Polacy pierwsi zabezpieczali ruską literaturę ludową przed zatratą (Zorjan Dołęga Chodakowski, W. Zaleski i inni), czemuż nie mielibyśmy życzyć, żeby literatura w języku ruskim rozwinęła się w przyszłości tak wspaniale, wniosła do poezji polskiej i światowej wartości tak swoiście własne i trwałe, jak we Francji twórczość Mistral'a?

Ale dlatego właśnie, że ziemie wschodnie Rzplitej uważamy za nasze, obowiązkiem naszym jest nietylko ochranianie ich kultury, ale także przetwarzanie jej i kształtowanie, zgodne z najwyższemi ideałami cywilizacyjnemi i moralnemi, które naród nasz ma wcielać w życie. Nie wszystkie zgoła odrębności i tradycje miejscowe zasługują na konserwację. Jedną z cech charakterystycznych ludności Polesia jest np. rozpowszechnienie t. zw. „kołtuna”, choroby włosów, wynikającej ze zbyt rzadkiego mycia głowy, tudzież nieużywania grzebienia: mało chyba znajdzie się tak skrajnych liberałów, którzyby obcięcie „kołtuna” zrozumieli jako zamach na prawa „mniejszości narodowej” i bluźnierstwo przeciwko „postępowi”. Otóż trzeba mieć silną wiarę w Polskę, w wartość i wyższość ducha cywilizacji polskiej równie objektywną, jak wartość hygjeny i schludności, i wszystko, co ideałom tej cywilizacji okaże się przeciwstawne, co łączność z nią osłabia i rozrywa, wypleniać bez żadnego zażenowania. Z dumę twierdzimy, że Polska jest ostatnim na północnym wschodzie Europy bastjonem cywilizacji rzymskiej i katolickiej, że przeznaczeniem historycznem narodu polskiego jest cywilizację tę, na tej części powierzchni globu ziemskiego, rozszerzać i utrwalać. Czyż nie wypływałby stąd choćby tak prosty wniosek, jak np. zbliżenie ludności ruskiej w Polsce z cywilizacją rzymską przez zastąpienie obecnego alfabetu wschodniego w drukach ruskich alfabetem łacińskim?

Wreszcie poczucie przynależności do narodu — gospodarza we własnem Państwie, powodować musi pozbycie się tego pewnego rodzaju onieśmielenia, z jakiem niejeden Polak dzisiaj jeszcze odnosi się do stwarzania i zabezpieczania nowych ognisk promieniowania kultury polskiej na wschodzie. Trzeba mieć wiarę w wartość cywilizacji polskiej i wiedzieć, że stwarzając wśród ludności ruskiej polskie szkoły, polskie czytelnie i t. p., nie krzywdzi się jej, ale przeciwnie, podnosi ją i bogaci duchowo, dając jej dostęp do wielkiej tradycji historycznej i najpewniejsze w danych okolicznościach warunki pełnego indywidualnego rozwoju jednostki ludzkiej.

Z tego samego braku wiary w Polskę, z którego rodziły się pomysły federalistyczne, powstała, jako słabszy nieco paroksyzm tejże choroby, ideologja t. zw. „państwowa”, wywodząca się z przeświadczenia, że Państwo Polskie większą posiadać będzie siłę przyciągającą dla ludności kresowej, jeżeli jego charakter polski, narodowy stanie się mniej widoczny, bardziej zamazany, ukryty. Jest w tym planie głęboko sięgające nieporozumienie. Państwo z natury swej, jako organizacja oparta na przymusie, niejednokrotnie bywa dla obywatela uciążliwe, żąda odeń rozmaitych świadczeń i wyrzeczeń, na które wówczas jedynie potrafi się on zdobyć z ochotą, jeżeli w państwie tem widzi uosobienie ambicyj dziejowych swego narodu, spadkobiercę najdroższych dla siebie tradycyj, obrońcę i wyraziciela najwyższych narodowych ideałów. Wątpić jednak należy o tem, ażeby ci właśnie, których od Państwa Polskiego odstręczać miałaby tra-

---

[2]) Od maja 1926 do r. 1928 rząd polski udzielił obywatelstwa polskiego zgórą 1.600.000 żydów na kresach wschodnich. Dalszej statystyki nie ujawniono.

[3]) Hr. Mychajło Tyszkiewicz w swej książce *„La littérature ukrainienne“* (Bern 1919), nazywa Kociubińskiego: *„un génie“*. Jest w tem niewątpliwa przesada.

dycja Żółkiewskiego i Kościuszki, Kopernika i Kochanowskiego, Mickiewicza i Szopena, rozpłomienili się nagle uczuciem miłości i uwielbienia wobec państwa bez oblicza narodowego, państwa w „ogólności”, jeżeli pojawi się ono ich oczom zachwyconym w postaci... poborcy podatkowego, policjanta, starosty...

Postawa psychiczna przy ujmowaniu zagadnień województw wschodnich, jaka określona została powyżej, utrudniona jest w ogromnej mierze faktem, że z pośród ludności, posługującej się językiem ruskim i białoruskim, niewielka stosunkowo część przynależna jest do Państwa Polskiego, gdy tymczasem większość bardzo znaczna znajduje się po drugiej stronie granicy, na sowieckiej Ukrainie i Białejrusi. Wspólność języka łatwo staje się podłożem do wytworzenia się głębszego poczucia wspólnoty narodowej, i rzeczywiście, zwłaszcza wśród ludności ruskiej na ziemiach polskich silne są obecnie prądy, przeciwstawiające idei polskiej — ideał jedności narodowo-państwowej wszystkich szczepów, mówiących językiem „ukraińskim”. Wynikających stąd olbrzymich trudności i przeszkód nie można pominąć ani zlekceważyć.

Ale — jak była już mowa poprzednio — język, mimo swego wielkiego znaczenia, nie jest jednak ani koniecznym ani dostatecznym warunkiem dla stworzenia społeczności narodowej i, pomimo wspólności języka, zachowanie pełnej odrębności duchowej grup poszczególnych jest najzupełniej możliwe. Że tak jest, dowodem w naszem własnem Państwie żydzi, często posługujący się wyłącznie językiem polskim, posiadający nawet w tym języku własną literaturę, a pomimo to jakże biegunowo przeciwstawni nam duchem, tradycją, ideałami moralnemi, instynktami! Żyd, mieszkający pośród nas, najpoprawniej władający naszą mową, bardziej obcy jest nam swoją psychiką nawet od dalekich Japończyków, z którymi łączy nas podobne, przez wieki kultury rycerskiej wytworzone, poczucie honoru, dla żyda niezrozumiałe zgoła i egzotyczne. Cóż wspólnego może mieć z literaturą polską poeta, pisujący w języku polskim, jeżeli na wieść, że Polska w niebezpieczeństwie, pierwszym, instynktownym jego odruchem jest myśl: „Rzuć karabin“?.

Otóż cokolwiek możnaby powiedzieć o Związku Republik Sowieckich, nie jest to państwo bez określonego oblicza ideologicznego, przeciwnie posiada ono ideologję niezmiernie wyrazistą, jaskrawą, według której wychowuje swoich obywateli. Im bardziej też to wychowanie w myśl swoistych zasad sowieckich wrastać będzie w dusze i je przekształcać, tem trudniejsze stanie się porozumienie na gruncie wspólnych ideałów pomiędzy mówiącą temi samemi językami ludnością po obu stronach polsko-sowieckiej granicy. Porozumienie to w tym większym stopniu będzie uniemożliwione, im wyraźniej Państwo Polskie okaże się zbudowane na odmiennych, przeciwnych zupełnie zasadach moralnych, niż te, z których wyrósł bolszewizm. Ci wszyscy z pośród ludności ruskiej i białoruskiej, którzy w Państwie i Narodzie Polskim nauczą się cenić obrończę religji, tradycji, poszanowania godności ludzkiej, ładu społecznego, panowania prawa, ci wszyscy, którzy wartość tych dóbr odczują, bliżsi tem samem staną się duchowo Polski, aniżeli sowieckiej Ukrainy czy Białejrusi. I tutaj znowu, jak zawsze, nie zacieranie narodowego stylu cywilizacji polskiej, łacińskiej i katolickiej, ale naodwrót uwydatnianie go jaknajdobitniejsze w całej budowie państwowej, okazuje się jedynem wskazaniem, wiodącem do celu.

JAN REMBIELIŃSKI

MYŚL POLITYCZNA J. L. POPŁAWSKIEGO

O POJMOWANIU POLSKI

„CO TO jest Polska?“ — pyta w swej „Polsce Współczesnej“ *) Jan Ludwik Popławski. „Odpowiedź na to pytanie łatwa i prosta dla Polaka, dla cudzoziemca wymaga dziś wyjaśnień i komentarzy“ — mówi dalej Popławski, ale nie możemy się całkowicie zgodzić na zdanie powyższe.

„Łatwą i prostą” była odpowiedź ta tylko dla Polaka, tak nieustannie pogłębiającego swoją wiedzę, swoją troskę i swoją myśl o Polsce, jak Popławski; ale i dla większości Polaków w jego czasach było to pytanie, tak trudne i zawiłe, jak i dla cudzoziemców, i zarówno wymaga ono wyjaśnień i komentarzy dzisiaj.

*) Szkice literackie i naukowe, J. L. Popławskiego, Warszawa, 1910, str. 204 — 314.

Wiedza o Polsce bowiem szwankowała między ogółem polskim od kilku wieków; coraz bardziej zasklepiony w swoich „pojedynkowych pożytkach“, ogół ten zatracał systematycznie i równolegle do rosnącej ciemnoty umysłowej — zdolność objęcia całości spraw Polski; ten brak był, niewątpliwie, także jedną z przyczyn utraty niepodległości. Klęski narodowe, prowadzące do ogólnego osłabienia, apatji i zniechęcenia ogółu; zabiegi rządów zaborczych, aby urabiać odpowiednio do swoich widoków opinję polską, i bezpośrednio, i przez zagranicę; zacierająca się coraz bardziej przeszłość Polski mocarstwowej — wszystko to prowadziło ogół polski do skurczenia pojęć o Polsce, do stopniowego wyrzekania się idei dawnej Polski, potężnej i rozległej, do zamykania jej w coraz ciaśniejszych granicach. I ta psychologja

abdykacji narodowej przeszła, jako tragiczne dziedzictwo, i do Polski współczesnej i to nietylko do szerokich rzesz obywateli, ale i do sfer, o Polsce, niestety, rozstrzygających.

Wyraziło się to, np., i w niewierze, aby można było zdobyć Śląsk i Pomorze; i w abdykacji z polskich powiatów za Dźwiną, i w fantastycznych pomysłach Litwy Środkowej, i w samobójczych, bezmyślnych dążeniach do „federacyj", i w zbrodnią narodową i zdradą stanu trącącem tworzeniem na gwałt narodowości białoruskiej i ukraińskiej, i w innych objawach, stwierdzających brak wiedzy o rzeczach polskich, brak wiary w siłę żywotną Polski, zgoła nietylko brak ekspansji narodowej, ale abdykację na całej linji nawet z tego, co nasze, co polskie.

Ujawniła się ta abdykacja i w zakresie pojęć o Polsce. „Nazwy Anglja, Francja, Włochy", — mówi Popławski — „nie budzą żadnych wątpliwości, odpowiadają bowiem terytorjum państw i narodowości politycznych. Ale Polska?"...

„Dla jednych", ciągnie dalej Popławski,—a dodajmy, nietylko dla cudzoziemców, niestety — Polska była „już tylko wspomnieniem historycznem, dla drugich — pojęciem etnograficznem obszaru, na którym mieszka ludność, mówiąca po polsku; dla większości, jak dla Metternicha Włochy na 20 lat przed ich zjednoczeniem i wyzwoleniem— pojęciem „geograficznem", nieokreślonem, kraju... na wschodzie Europy"...

Od tej mgławicy pojęć o Polsce niedaleko odbiega i współczesny ogół europejski, a powtórzmy jeszcze raz, niestety, i szeroki ogół polski, dla którego pojęcie narodu polskiego np. jednoznaczne jest z pojęciem „ludności, mówiącej po polsku", tak dalece najżywotniejsze zagadnienia zostały zaniedbane i przestały być zrozumiałe, choć byłyby jasne dla cudzoziemca, gdyby o jego kraj chodziło.

Tłumaczy to zjawisko (zresztą nie specjalnie polskie) Popławski brakiem „kultury historycznej", zanikiem „poczucia łączności między przeszłością narodu, a jego życiem współczesnem", zatraceniem „świadomości, że ta łączność jest konieczną". W tych warunkach „przeszłość nie jest dla nas całością organiczną, jednolitą, ściśle zespoloną z teraźniejszością i przyszłością narodu, ale jest jakby składem starych, wybrakowanych materjałów, z których wybieramy to, co każdemu z nas z różnych względów jest potrzebnem. Paradoksem wydaje nam się zdanie Lebona, że na życie i działalność narodu większy wpływ wywiera jego przeszłość, niż dążenia i interesy teraźniejszości, a tembardziej przewidywania przyszłości. Zanik tradycji i kultury historycznej nie jest objawem tylko naszego życia, ale dla nas ten objaw jest groźniejszym, niż dla innych"... — podkreśla Popławski.

Powody tego „zanikania stopniowego w umysłowości europejskiej organicznego, historyczno-przyrodniczego pojmowania życia narodu" — widzi Popławski w oddziaływaniu i współdziałaniu różnych sił. A więc: 1) racjonalizmu religijnego; 2) mimo pozornej z pierwszym sprzeczności i racjonalizmu filozoficznego, z jego „mechanicznem pojmowaniem zjawisk życia", 3) „demokratyzacji urządzeń politycznych i stosunków społecznych", oraz 4) „niezwykle szybkiego rozwoju przemysłu, handlu i środków komunikacyjnych".

Nasze czasy bynajmniej nie poprawiły tego stanu, albowiem pokolenie, które zaczęło swe życie w ponownem, wielkiem tchnieniu historji i tradycji w wolnej Polsce — jeszcze nie ma możności objęcia rządów narodu i państwa polskiego, i u steru są ciągle ci sami ludzie, którzy wyznają racjonalizm religijny i filozoficzny z przed ćwierćwiecza i którzy na pierwszy plan wysunęli „mechaniczne pojmowanie zjawisk życia". Ci zacięci wrogowie „kultury i tradycji historycznej" postarzeli się tylko, ale niczego się nie nauczyli od czasów swego kółkowania samokształceniowego, co najwyżej z lwów wszelkich przyszłych rewolucyj zamienili się w sparciałych, potulnych i otłuszczonych rentjerów, żyjących wygodnie i z honorami z dochodów, uzyskiwanych z gromkich haseł, głoszących nieustającą walkę, naturalnie, dobrze oprocentowaną, z wszelkiem wstecznictwem, w pierwszej linji ze wszystkiem, co tchnie narodowem życiem.

W tych warunkach nabiera szczególnie donioslego znaczenia odpowiedź Popławskiego na pytanie, „co to jest Polska?"

„Trudnem jest to określenie" — mówi Popławski, myśląc nie tyle o trudnościach, zawartych w samem zagadnieniu, ale przedewszystkiem o tem, że przyjęte na zachodzie poglądy o narodzie, gdy chodziło o Polskę, były odrzucane „przez urzędowych i półurzędowych publicystów i uczonych", z czego płynęło, że „opinja publiczna Europy i nawet opinja kół naukowych" była „systematycznie okłamywaną lub bałamuconą", gdy „dla celów politycznych świadomie fałszowali przeciwnicy nasi nietylko historję, ale etnografję i nawet statystykę"..

Pragnąc w tych warunkach mieć objektywny sprawdzian swych twierdzeń, opiera się Popławski na zasadzie, że „podstawą narodowości współczesnej nie jest jedność rasy i języka, ale wspólność ideałów duchowych i kultury, tradycyj historycznych i interesów materjalnych. Ta wspólność duchowa i materjalna łączy plemiona w narody, a narody w państwa"...

Jako przykład, daje Popławski „Francję, Włochy, Hiszpanję, wielkie państwa, jednolite na pozór", które składają się „z wielu krajów, mających swą odrębną fizjognomję, swoje właściwości przyrodzone, swoją własną historję"...

„Każdy wielki naród" — twierdzi Popławski — „a takim był w przeszłości i jest dzisiaj pomimo wszystkiego naród polski, składa się z różnych plemion, często odmiennych pochodzeniem, językiem, religją. Te plemiona, części składowe wielkiego narodu, zachowują w większym lub mniejszym stopniu swoją indywidualność etnograficzną, swoje tradycje odrębne, zatarte lub nawet wyraźne wspomnienia swojej niegdyś niezależności politycznej. Niema, jak wiadomo, narodu współczesnego, któryby był jednolitym rasowo, któryby nie składał się z różnorodnych elementów, utrzymujących się w związku stałym tylko poczuciem jedności politycznej"...

Chociaż Popławski podkreśla teoretycznie, że „należy odróżniać pojęcie polityczne narodowości od jej pojęcia etnograficzno-językowego" — to jednak stwierdza zarazem, że „w krajach, które jedność narodową osiągnęły", nie rozróżnia się „zwykle tych pojęć"...

Dla Francuza, np., „wszyscy mieszkańcy Francji, z wyjątkiem przebywających w niej cudzoziemców, są Francuzami. Nietylko Normandowie, Burgundowie, Owernijczycy, Wallonowie, nietylko Sabaudczycy, Prowansale i Gaskończycy,

ale nawet Korsykanie. Bretonowie i Baskowie są Francuzami, jak znowu Włochami są zarówno Neapolitańczycy, jak Sycyljanie, Sardyńczycy, Wenecjanie, Toskańczycy, Lombardowie itd"...

„Jednogłośny krzyk oburzenia i protestu wyrwałby się z piersi wszystkich patrjotów francuskich, nawet najbardziej humanitarnych i liberalnych"— mówi Popławski dalej —„gdyby się okazało, że Południowcy (*Méridionaux*), Bretonowie, Korsykanie i Baskowie żądają dziś utrwalenia swej odrębności etnograficznej, zaprowadzenia swoich języków w szkołach i urzędach, wreszcie zupełnej autonomji politycznej, a tymbardziej gdyby się okazało, że dążą do oderwania od Francji swych terytorjów narodowych, że chcą z nich utworzyć niezależne państwa, że ich kierownicy polityczni ciążą jedni do Anglji, drudzy do Hiszpanji lub Włoch, że porozumiewają się z rządami tych państw, pobierają nawet od nich subwencje. Niema zapewne ani jednego polityka we Francji, który nie chciałby tłumić podobnej agitacji i nie zawahałby się użyć w tym celu najenergiczniejszych środków za jednomyślną zgodą opinji publicznej"...

„Otóż w podobnem położeniu jesteśmy nieraz my Polacy" — konkluduje Popławski — „i nietylko w polityce, ale nawet w etnografji walczyć musimy z nieuzasadnionemi uroszczeniami, z świadomie rozpowszechnianemi przez płatnych pamflecistów fałszami".

Zresztą ta „etnografja" służyła polityce rządów zaborczych, dążących do wewnętrznego rozbicia dawnej łączności między różnorodnemi częściami Polski. Więc, „rząd pruski w prowincjach polskich odrazu zaczął zaprowadzać język niemiecki w życiu publicznem" i stopniowo usiłował usunąć język polski ze wszystkich dziedzin życia publicznego. Sztuczne wzmacnianie żywiołu niemieckiego zapomocą forsownej kolonizacji sprawiło, że liczni za czasów polskich w prowincjach zachodnich, zwłaszcza w miastach, Niemcy, którzy dawniej polszczyli się — dziś zachowują się wrogo względem ludności polskiej. Gdańsk i Toruń, w r. 1793 protestowały i stawiły czynny opór, gdy przyłączano te miasta do Prus. Obecnie, potomkowie tych dzielnych patrjotów polskich są, niestety, hakatystami...

„Rząd austrjacki usiłował z początku zgermanizować swoje prowincje polskie, a gdy się przekonał, że tego nie dokona, podburzać zaczął, w myśl swej zasady: *Divide et impera!*...—ludność rusińską przeciw Polakom. Ferment, rzucony w ciemne masy ludności rusińskiej, dotychczas nie przestaje działać, pomimo polityki pojednawczej Polaków w Galicji"...

„Wreszcie rząd carski po r. 1830 w prowincjach litewskich i ruskich zaprowadził język rosyjski w szkołach i urzędach, co powstrzymało rozwój kultury polskiej w tych krajach, a cofnęło ją nawet wstecz po r. 1863, kiedy ograniczono znacznie, raczej zniesiono prawa obywatelskie żywiołu polskiego. Naśladując politykę austrjacką, rząd rosyjski usiłował usposobić nieprzychylnie ludność ruską i litewską względem Polaków"...

Były to ciosy, wymierzane w Polskę przez zaborców, bo byli oni przeświadczeni o tej oczywistości politycznej, że „obszar geograficzny Polski, obszar dawnego państwa polskiego i współczesnych wpływów politycznych i kulturalnych polskości—stanowi odrębną całość przyrodzoną i odrębny organizm ekonomiczny. Kraje, należące do tego obszaru, stanowiły w ciągu wieków jedno państwo, które powstało nie drogą przymusu i zaborów, ale drogą dobrowolnej Unji z Polską Litwy, ziem ruskich i Prus. Można więc mówić o ludności tego terytorjum, jako o jednym narodzie w znaczeniu politycznem, chociaż składa się ona z kilku narodowości odrębnych, zachowujących, a nawet rozwijających i utrwalających swoją odrębność etnograficzną".

Ta analiza warunków fizyko-geograficznych wykazuje, że nawet „związek historyczny tych prowincyj Rosji, Prus i Austrji, w których dziś element polski stanowi nieznaczny procent ludności — był związkiem przyrodzonym, że stanowią one jedną całość organiczną", jak również, że i „te ziemie, które od wieków nigdy do państwa polskiego nie należały, ale w których dziś życie narodowe bije coraz żywszem tętnem — stanowią, niewątpliwie, część Polski współczesnej. Obszar jej obejmuje więc, poza granicami historycznemi państwa polskiego przed pierwszym rozbiorem — terytorja pod względem etnograficznym przeważnie polskie"... Popławski znał krytyczny stosunek rodaków do rzeczy polskich, i dlatego te rzekome niemożliwości uzasadnia takiemi zestawieniami ze stosunkami francuskiemi i hiszpańskiemi.

„Filologicznie" — mówi — „różnica między językiem rusińskim (małoruskim) lub białoruskim, a polskim jest taka sama, jak między językiem limuzyjskim (*langue d'oc*) a językiem francuskim. Katalończycy, którzy są narodowo Hiszpanami, mówią narzeczem bardzo podobnem do mowy południowo-francuskiej, która dla Hiszpana lub Włocha jest równie łatwą, czy może równie trudną do zrozumienia, jak dla północnego Francuza. Podobieństwo rasowe i językowe między Bretonami i Francuzami jest mniej więcej takie samo, jak między Polakami i Litwinami. I różnica między poziomem kultury polskiej i litewskiej jest taką samą, jak między poziomem kultury francuskiej a bretońskiej".

Porównanie całe nabiera wyrazistości, gdy zwrócimy wraz z Popławskim uwagę na to, że „dawna Polska... nie znała asymilacji przymusowej, pozwalała zachowywać swoją indywidualność narodową nawet obcym przybyszom i kolonistom. W języku urzędowym polskim te żywioły nosiły nazwę „narodów".

Był więc w Polsce nietylko „naród żydowski", ale i „naród tatarski", „naród ormiański", nawet „naród cygański", i każdy z nich miał swoje własne prawa, swoją autonomję, chociaż np. Ormianie i Tatarzy, osiedleni w Polsce w niewielkiej zresztą liczbie, w XIV i XV wieku, przyjęli mowę i narodowość polską, zachowując tylko odrębność religijną"...

To w dużym stopniu tłumaczyć może, dlaczego z poszczególnych „narodów" „właściwie dopiero w XVIII wieku narodowość polska zaczęła się ustalać. W tym samym czasie w całej Europie odbywał się wielki proces centralizacji państwowej, którego następstwem było wytworzenie się narodów współczesnych. We Francji... prawdziwą jedność narodową utrwaliła dopiero Wielka Rewolucja, we Włoszech i Niemczech dzieło unifikacji narodowej rozwinęło się dopiero w początkach ubiegłego wieku. Państwo polskie upadło... właśnie w tej chwili, gdy reformować zaczęło w końcu XVIII w.

swój ustrój polityczny, kiedy zaczęło się w niem utrwalać pojęcie jednolitej narodowości“.

Ale już i w dawnej Polsce, przed upadkiem państwa, „te klasy ludności, które w życiu politycznem i duchowem brały udział, przyjęły dobrowolnie kulturę polską na Litwie i Rusi. A więc przedewszystkiem szlachta, która w Polsce miała inne znaczenie, niż w Europie, i stanowiła około 10% ogółu ludności, następnie mieszczaństwo, chociaż w znacznej części było obcego, przeważnie niemieckiego pochodzenia“...

Za warstwami wyższemi „znajomość języka polskiego pomiędzy ludem litewskim i ruskim oraz między osadnikami niemieckimi w Polsce właściwej była dosyć rozpowszechniona. Wyższość materjalna i moralna kultury polskiej sprawiała, że dzieło asymilacji narodowej odbywało się bez żadnego przymusu, było procesem naturalnym“...

„Tylko Żydzi“, — mówi Popławski — „stanowiący niemal połowę ludności miejskiej, nie zasymilowali się“...

Konkludując można powiedzieć z Popławskim, że „według takich pojęć, historycznie i politycznie uzasadnionych“, kraj, który „historycznie, geograficznie i politycznie nazywa się Polską“, liczy, „po odtrąceniu nawet tych części, jak Bukowina, Śpiż, Kurlandja, Liwonja, które w życiu politycznem Polski mają słaby udział“ — „około 45 miljonów Polaków, tyle bowiem ludzi mieszka na obszarze geograficznym Polski, w granicach dawnego państwa polskiego“...

Rozumiemy doskonale, przytaczając tę opinję Popławskiego, co za oburzenie, co za harmider i wrzask podniesie się w pewnych ośrodkach, i takich, co oddawna przygotowują zmniejszenie lub zniszczenie całkowite Polski, i takich, które im z głębi swego wyzwolonego z „przesądów“ sumienia hołdują i bezwiednie pomagają.

Rozumiemy również i odruchowe niedowierzanie, i ciche zakłopotanie—pewnych kół patrjotycznych, wychowanych w dawnym „czułostkowym“— nie uczuciowym — duchu, i dla uspokojenia wszystkich — przytaczamy odrazu opinję samego Popławskiego o możliwościach tego „imperjalizmu“, tak zdrowego.

„W najśmielszych przewidywaniach bliskiej przyszłości nie wyobrażamy sobie Polski niepodległej w tych granicach“—mówi Popławski— „ale te cyfry jej obszaru i ludności pozwalają nam określić jej siłę i sferę jej działalności politycznej i kulturalnej”.

Otóż to, chodzi „o siłę i sferę działalności politycznej i kulturalnej“, ale to jest dziedzina wpływów i pracy najnowszego, idącego do rządów — pokolenia polskiego, którego naturalnym odruchem musi być własnie głęboko i życiowo zrozumiany „imperjalizm“, w duchu zachodniej Europy i Jana Ludwika Popławskiego.

IGNACY KOZIELEWSKI

RACJONALNE — IRRACJONALNE

(Ciąg dalszy)

VILFREDO Pareto w swej „Socjologji“ [2]) przytacza jako wzorowy wypadek „działania nielogicznego“ *(le type pur des actions non-logiques)* czyli działania o celu objektywnym, ale bez celu subjektywnego, zachowanie się pewnego owada (opisane prze Fabre'a): Owad ten, dla dostarczenia swemu potomstwu żywego mięsa, paraliżuje zapomocą niesłychanie celnego ukłucia w pewien słój nerwowy gąsienicę innego gatunku, której konstrukcja układu nerwowego szczególnie do takiego właśnie ukłucia nadaje się. Zachowanie się tego owada wykazuje, jak powiada Pareto, cudowną „logikę objektywną”, gdyż środki są tam doskonale zastosowane do celu — jakim będzie dobre zaopatrzenie potomstwa; nie będzie to jednak zachowanie „subjektywnie logiczne“, albowiem trudno u tego owada przypuścić czysto intelektualne rozumowanie o sposobach zaopatrzenia dzieci a także doskonale świadomą znajomość anatomji i fizjologji swej ofiary. Chcąc, dodajmy tu, wyobrazić sobie wygląd wewnętrzny tego zachowania się zdumiewającego, musimy chyba posłużyć się (o ile nie chcemy owada wyobrazić sobie na wzór martwej maszyny, nic nie wiedzącej o swych czynnościach, co byłoby mnożeniem dziwów ponad potrzebę i bez podstawy!) wyobrażeniem namiętności: owadem tym kieruje jakaś niespokojna żądza, która każe mu wytrwale poszukiwać jakiejś zgoła mu niewiadomej istoty, aż wreszcie w pewnej chwili uradować się drapieżnie, odpoznawszy ją [3]), i wykonać resztę zadania.

[2]) Por. „*Traité de sociologie Générale*“, Paris, Payot, 1917, I, § 155.

[3]) Jest to, nawiasem powiedziawszy, jakby przykład na platońska „ideę...“.

Przyjmujemy teraz, że ten owad obdarzony jest świadomością, pozwalającą mu zastanawiać się nad swojemi czynnościami. Jakże on nazwie zachowanie się swe? Jeśliby owad ten próbował powstrzymać się od tych działań swoich, to niewątpliwie doświadczy nieznośnej męki; ulegając popędowi do nich, doświadcza z pewnością rozkoszy. Jest zaś rzeczą doskonale i bezpośrednio zrozumiałą, przynajmniej z punktu widzenia życia czysto żywiołowego, unikać męki, szukać rozkoszy. To zachowanie się więc naszego owada będzie — w myśl niniejszej terminologji — „intuicyjnie racjonalnem”; będzie bowiem tak samo bezpośrednio zrozumiałe, jak n. p. dla strudzonego wędrowca w upalny dzień szukać cienia i wody. Niema tutaj żadnego zgoła „dlaczego“ — bo jeśli odpowiem, że „dlatego, iż cień jest chłodny, a woda zimną“, to będzie to czysty pleonazm, bo przecież żadnej innej wody, ani żadnego innego cienia, ani wogóle żadnych innych rzeczy nie poszukuję, tylko tych, które mi dadzą ochłodę. Podobnież i dla tego owada, ta właśnie gąsienica i te na niej wykonane czynności, są tem jedynem, co da ulgę od nieznośnego niepokoju, wszelkie więc „dlaczego“ okazuje się zbędnem całkowicie.

A gdyby jednak, pomimo to, ten nasz fikcyjny owad-filozof zaczął uparcie zadawać sobie pytanie: „dlaczego ja to robię?“ — (tak jakby n. p. zaczął głodny pytać sam siebie: „dlaczego szukam chleba?“) — to czego objawem byłby sam fakt tego pytania, fakt tego zaniepokojenia, z powodu którego zachowanie się, tak oczywiście pewne, poczyna stawać się niepojętem? Tego rodzaju wzniesienie się ponad żądzę, ponad instynkt, pytanie o jego „rację“, jest chyba nieomylnym dowodem

zachwiania się instynktu, słabnącej dynamiki instynktu. Gdyby instynkt osłabł w jakimś bardzo wysokim stopniu, to pytanie „dlaczego?", pozostawszy bez odpowiedzi, stałoby się czynnikiem ostatecznego już zmarnienia instynktu: Instynkt zostałby przez intelekt stanowczo zaprzeczony, jako „bezsensowny, nieracjonalny" — i ta świadomość, przeciwdziałając falom powrotnym broniącego się resztkami sił instynktu, przytłumiłaby go do reszty. Gdy jednak lekkie zachwianie się instynktu, przejawione powiewem jego niezrozumiałości, zostanie przez żywotność instynktu otamowane, gdy ta niezrozumiałość zostanie „zagojona", to intelekt zsolidaryzuje się z instynktem i to uczucie zgody trzeba będzie wyrazić jakimś terminem. Nie użyje się tu terminu „racjonalny", bo to zachowanie się osobnika nie jest już dla niego bez zastrzeżeń zrozumiałe, ani też nie zostało dyskursywnie zracjonalizowane; nie jest też „nieracjonalne", bo nie zostało zganione; użyć więc należy nazwy trzeciej: „irracjonalnego".

Proces był taki: Pierwotnie zrozumiałe stało się niezrozumiałem — i znowu do zrozumiałości powróciło: ale nie na drodze dyskursywnej, jeno na drodze czysto wzruszeniowej przez „wyczucie" w niem samem nowej jakiejś porcji „wartości". „Irracjonalne" więc — sprecyzujemy tu definicję poprzednią — jest to, co pozostało rozumnem (rozumne t. j. zrozumiałe — nienaganne[4]), choć już zaczęło być niezrozumiałem, ale pozostało rozumnem nie na skutek dyskursu, dla racji zewnętrznej (logicznej), lecz przez inwestycję nowego zasobu pozytywnie wartościującego uczucia.

Djalektyka więc, wyżej podniesiona, „racjonalnego" i „irracjonalnego" — nie jest nią w znaczeniu ścisłem, statycznem, logicznem, ale w znaczeniu przybliżonem, dynamicznem, psychologicznem. To znaczy, nie jest tak, jakoby w pewnych punktach dyskursu wstawić można było zrównanie: „rzecz irracjonalna = rzecz racjonalna" — ale jest tak, iż rzecz „racjonalna" staje się, na skutek zachwiania instynktu — zachwiania jednak przezwyciężonego jego własną mocą—rzeczą „irracjonalną". I tak: „Żyć" jest doskonale „racjonalne" dla kogoś, kto ma w sobie pełnię żywotności, pełnię instynktów zachowania i ekspansji swej osoby; on też doskonale rozumie działanie innych, tym popędem kierowane, popęd ten jest dlań ostateczną podstawą racjonalizacji, podstawą, która już żadnego zewnętrznego podparcia nie potrzebuje. Ale „żyć" jest też całkowicie „nieracjonalnem" dla człowieka o żywotności całkiem wyczerpanej — i ten na wiekuisty kołowrót walki o życie spogląda jako na wiekuiste, kosmiczne głupstwo. Ale człowiek, który dręczony jest dylematem „być albo nie być", jeśli szalę przeważy na stronę „być" — a przeważy ją nie dla żadnej racji zewnętrznej, lecz dla samego uroku, jaki nań pomimo wszystko życie wywiera, jeśli się ukorzy przed niesamowitem pięknem życia, jeśli życie dlań z powrotem uzyska znaczenie „zrozumiałego", to jednakże nie będzie to już owa pierwotna, bezpośrednia, naiwna zrozumiałość, ale zrozumiałość innego rzędu, brzemienna tajnym zadziorem niezrozumiałości — będzie to sprawa „irracjonalna".

Tem bardziej instynkt jest „racjonalny", tem mniej „irracjonalny", im jest silniejszy. Nic tu nie znaczy kwestja jego logicznego stosunku, bliższego lub dalszego, względom postulatu samozachowania jednostki. Mógłby n. p. ktoś powiedzieć, że „racjonalne" są instynkty, służące samozachowaniu jednostki, „irracjonalne" — zachowaniu, za jej pośrednictwem, gatunku, n. p. „racjonalnem" byłoby to, co ów owad robi dla zachowania swojego własnego życia, „irracjonalnemi" zdumiewające czynności, które wykonywa dla zachowania gatunku. Z pewnością, że wielką i pociągającą tajemnicą jest cudowny mechanizm owych czynności, pomimo nieznajomości celu tak znakomicie doń dostosowanych, niemniej jednak sam w sobie fakt owych czynności nie jest ani mniej, ani bardziej zrozumiały lub niezrozumiały — (to kwestja li-tylko uczuciowego nastawienia się, patetycznego lub zblazowanego) — niźli fakt czynności przedsiębranych dla zachowania życia osobniczego. — Instynkt szukania pożywienia nie jest bynajmniej bardziej zrozumiały niż instynkt płciowy; jeśli jednak w instynkcie płciowym odczuwamy znacznie częściej coś „irracjonalnego"[5]) (coś niezrozumiałego, czem jednak, przynajmniej pod pewnemi warunkami ulegać należy), to dlatego, iż w rzeczywistości instynkt płciowy naogół łatwiej ulega zachwianiu, niż instynkt odżywiania się i wogóle samozachowania. To kwestja faktu.

Dlatego też instynkty t. zw. kulturalne — te, które, stanowiąc *par excellence* ludzką nadbudowę osobowości, nie miały czasu wkorzenić się w nią dostatecznie głęboko — wydają nam się jako naogół słabsze, bardziej „irracjonalnemi", niż instykty czysto biologiczne. Obrona myśli wydaje się być czemś „irracjonalnem" w porównaniu z obroną mienia i t. p.

4. W związku z powyższem poprawka w pojęciu „irracjonalisty": „Irracjonalista" to ten, u którego wprawdzie przeważają rzeczy pewne — ale te rzeczy pewne nie są pewne absolutnie, owszem ulegają pewnem cząstkowemu zaniepokojeniu. Gdyby zaniepokojenie to poszło dalej, pozostawiwszy jednak nienaruszonem jakieś *residuum* pewności— to mielibyśmy „racjonalistę", gdyby nie oszczędziło niczego — „sceptyka". Stąd pytanie, czy różnica objektywna pomiędzy „racjo" — a „irracjonalistą" nie jest natury raczej ilościowej. — Odpowiedź wypadnie twierdząco: niema przecież irracjonalisty, któryby wcale nie odczuwał potrzeby jakichś racjonalizacyj i niema racjonalisty, któryby nie zachował jakichś dziedzin życia od dyskursu wolnych,

[4]) W „rozumnem" jest zawartość pochwalna; pomyślmy świat, któryby zrozumiały był dla nas we wszystkich szczegółach, jak dla mechanika jego maszyna; gdybyśmy się nań jednak sercem nie godzili, czyż nazwiemy go „rozumnym"?...

[5]) „Irracjonalne" w erotyce tam się pokazuje, gdzie, dajmy na to, całą nawet „sofistyką zmysłów" trudno przyznać, aby gładkie lica i nadobne kształty były logicznym argumentem za „sercem, duszą" kobiety; a jednak nasza, pomimo wszystko ciągle chrześcijańsko-rycerska kultura, każe młodemu od kobiety tego domagać się. Cóż więc robić, trzeba nieraz argumentowi dać się przekonać. Ktoś może ulec tej sofistyce całkiem naiwnie, ktoś inny złorzecząc — szydząc z siebie. Ale niechaj wykażą, że ona w danym wypadku ma cele objektywnie (dla narodu, ludzkości i t. p.) cenne (n. p. ze względu na trwałość małżeństwa) — to jakżeż uległość ową mienić? Wtedy akt nawskroś nierozumny — uległość sentymentalnemu oszustwu pożądania — awansuje z głupoty lub małoduszności na „irracjonalność"...: ukazuje się aktem chwalebnej uległości wobec instynktu, któremu należy dać się okłamywać, bo on jeszcze mądrzejszy, niż rozum, co przejrzał jego sztuczki!

„samostarczalnych“, autonomicznych. To kwestja tylko przewagi skłonności, ale ona właśnie stanowi o całym wyglądzie duchowym człowieka — (a najlepszym bodajże sprawdzianem będzie tu to, który obraz świata obudzi radość estetyczną: monistyczny czy pluralistyczny?).

Ściśle biorąc i nakreślona sylweta racjonalisty wymaga uzupełnień. Kartezjańskie „metodyczne zwątpienie“ może albo naprawdę być takiem t. j. być tylko sposobem do przedstawienia rzeczy oczywistych — albo też te rzeczy oczywiste mogą być tylko z trudem wydobyte z pod lawiny zwątpienia. Albo więc w psychice pierwszą jest pewność podstawowa, wyjaśniająca wszystko, albo też pierwszem zwątpienie, a jakaś pewność rewelacyjna dopiero odnalezionem *remedium*. Mamy więc typ „dogmatyka“, o pewności stale gotowej, któremu cała rzeczywistość jest zrozumiała, bo wysnuwa się automatycznie, jak nić z kłębka, z jednej zasady— i mamy racjonalistę o pokroju sceptycznym, który pewność swoją dopiero odkrył, dopracował się jej i stale konfrontuje z faktami.

Wreszcie dla ścisłości wspomnieć należy o typie umysłowo prostaczym człowieka, który ma cały szereg zupełnie niepowiązanych a przez doświadczenie zgoła niewzruszonych pewności i który bynajmniej się nie troszczy o ich, jakie takie, logiczne uporządkowanie.

(Dok. nast.) KAROL LUDWIK KONIŃSKI

ERRATA. W pierwszej części tego artykułu (nr. 5), przytrafiły się następujące błędy druku: W. 1 (motto) powinno być *Ertragbarkeit* (zam. Ewnag...); str. 71 szp. 2 w. 3 powinno być: nieuporządkowane (...wanie); tamże 21 w. od dołu powinno być: poza sferą intelektu.

Z MINIONYCH LAT

NAJOPŁAKAŃSZĄ, odartą z uroku jest młodość nie warta wspomnienia, która nie pozostawia trwałych śladów w duszy naszej, tych nieocenionych pamiątek przeszłości, co wiążą na zawsze jednostkę ludzką z czemś większem i trwalszem od niej. Młodość szeregu pokoleń polskich upływała w tego rodzaju warunkach, że każde z nich mogło później wspominać te lata, jeśli nie zawsze jak „piękną marę senną”, to w każdym razie jak coś, co wstrząsało duszę do głębi, składało w niej płodne ziarna i kształtowało życie wewnętrzne jednostki.

Wspomnieniami młodości zapładniali swą twórczość najwięksi poeci nasi, osładzali niemi gorycze wygnania bojownicy sprawy narodowej, ich blask rozjaśniał niejednemu w Polsce szare dni niewoli. Snuły się na ziemiach polskich wspomnienia minionych lat przez wiek zgórą, — snują się i dziś jeszcze, chociaż czas, niby, nie jest po temu, a dusze ludzkie z mniejszą tęsknotą zwracają się ku nim, niż dawniej. Taka jednak tkwi w nich siła żywotna, taka poezja nie zwietrzała, że się wydobywają z serc ludzkich same przez się, bez wysiłku i pomocy przyborów sztucznych.

Tak powstały najpewniej wspomnienia Zdzisława Dębickiego („Grzechy młodości”. Warszawa 1930 r. Nakład księgarni Trzaski, Michalskiego i Ewerta. Str. 264) — związane z wypadkami manifestacji w setną rocznicę powstania Kilińskiego, która się odbyła w dniu 17 kwietnia 1894 roku w Warszawie.

Autor, uczestnik tej manifestacji, która była „jawnym protestem Warszawy, stolicy kraju, przeciwko niewoli“, a w której brała udział przeważnie młodzież uniwersytecka oraz sporo osób cywilnych (razem paręset osób), mówi tu, jak się ona odbyła i jakie pociągnęła za sobą następstwa. Manifestacji nie towarzyszyły wypadki tragiczne — nie było, jak niegdyś szarży dziczy kozackiej na bezbronną ludność stolicy, nie było krwi rozlewu i t. p.: manifestantów, powracających z nabożeństwa w katedrze, otoczyła na Podwalu policja, wpędziła wszystkich na podwórze „cyrkułu“, gdzie sprawdzano do wieczora ich nazwiska, poczem wszystkich wypuszczono. Nie na długo wprawdzie, w parę dni bowiem, w nocy, aresztowano ich znowu i rozmieszczono po więzieniach warszawskich (Pawiak, Arsenał i więzienie na Chłodnej). Po śledztwie, trwającem dość długo, nastąpił wyrok, skazujący stukilkudziesięciu więźniów na kilka lat zesłania do odległych gubernij Rosji.

Kara była w stosunku do „winy” dość wysoka, aczkolwiek więc manifestacja nie była zjawiskiem nadzwyczajnem dla Warszawy (parę lat przed tem manifestowano z powodu setnej rocznicy konstytucji 3-go maja, co nie pociągnęło za sobą smutniejszych następstw), to jednak surowy wymiar „sprawiedliwości“ był niespodzianką, wniosło to zatem ferment oburzenia w różne sfery społeczeństwa, tem bardziej, iż chodziło tu o młodzież uniwersytecką, której przerywano studja i dalsze losy wystawiano na niepewność.

Nie brak było i tych, którzy się oburzali na młodzież, ta jednak przyjęła to wszystko z pogodą i fantazją, a opuszczała ukochaną stolicę, oczywiście nie bez smutku w duszy, lecz bez skargi i lamentu, owszem z mocną wiarą w lepszą przyszłość — jej i własną!

A jakże było na wygnaniu? Było lepiej i było gorzej, nigdzie jednak nie było, co się zowie źle.

Wszędzie zesłańcy polityczni z Polski spotykali się z życzliwością społeczeństwa rosyjskiego, wszędzie uważano ich za wyższy pod względem kultury gatunek ludzki, — nawet władze miejscowe ulegały tej opinji i starały się naszym wygnańcom ułatwiać życie w warunkach dość trudnych. Spotykano się tu i ówdzie z lekkiemi szykanami, to jednak należało do wyjątków.

A jak żyli „Kilińczycy“ w rozmaitych zapadłych kątach gubernij nadwołżańskich, na stokach gór Uralskich i t. p.; co robili, jak się sprawowali? Niezbyt łatwo zżywali się z obcem otoczeniem, z grupami ludzkiemi o nader odmiennej kulturze umysłowej, obyczajach i t. p. (oprócz sfery urzędniczej, częstokroć miało się do czynienia z ludnością tubylczą: Kirgizami, Baszkirami, Tatarami, Kozakami i t. p.), — trzymali się „w rezerwie“, — przynaglani wszakże koniecznościami życia, względami zarobkowania, czy też ujmowani życzliwością ludzką, zawierali ściślejsze stosunki znajomości. Komu udało się dostać jakieś zajęcie, ten się czuł

lepiej, mniej się nużył jednostajnością życia, skuteczniej opierał się przystępom nudy i tęsknoty. zresztą wszyscy ci, którym się lepiej działo i którym gorzej, — od początku niemal wygnania pocieszeni zostali wieścią o śmierci Aleksandra III-go (listopad 1894 r.), żyli więc nadzieją skrócenia czasu zesłania, co też nastąpiło.

Jak tam kto „zabijał czas“ i urozmaicał sobie monotonne istnienie — dużo o tem dałoby się powiedzieć (książka Dębickiego ilustruje to nieraz doskonale), trzeba jednak stwierdzić, że pod tym względem „Kilińczycy” byli bez zarzutu. Godności narodowej, zarówno jak i wyższości obyczajowej Polaków — niczem nie uchybili; idei, jaką wśród obcych reprezentowali, nigdy nie narazili na szwank.

Tu się nasuwają ciekawe porównania. Oto, jednocześnie z książką Dębickiego, czytałem „Dziennik z wygnania” Tomasza Zana, (z autografu wydała Marja Dunajówna. Wilno 1929 r.), który zesłany był do Orenburga, inni natomiast towarzysze jego niedoli: Suzin, Czeczot, Pieślak i t.d., do tych miejscowości kraju Orenburskiego, w których przebywała orenburska grupa „Kilińczyków“, między innymi autor ,,Grzechów młodości“ oraz niżej podpisany. „Dziennik“ ten — przykro to mówić — robi bardzo niekorzystne wrażenie, świadczy bowiem, iż jeden z wodzów Filaretów wileńskich, podczas swego pobytu na wygnaniu nie zawsze stał na poziomie cnoty i godności filareckiej. Dowiadujemy się z „Dziennika“, że Zan, przyjmowany serdecznie w rodzinie generała Żemczużnikowa, zakochał się na zabój w jego córce, Żeni. Panna nie podzielała tego uczucia, stąd ustawiczne skargi na obojętność badź perfidję przedmiotu miłości, żale i objawy tego rodzaju rozpaczy, takiego osłabienia duszy — przez szereg lat — iż wprost nie chce się wierzyć, że tak się dał złamać człowiek, który należał do bratniego koła, gdzie powstała „Oda do młodości“.

Zakochanie się, to rzecz bardzo ludzka, dla samego faktu zatem, chociaż dość nieoczekiwanego, można być wyrozumiałym, zwłaszcza gdy się uwzględni „czuły“ charakter Zana (zgodny z naturą jego i teorją wyznawaną), oraz smutne, tęskne życie wygnańca wogóle.

Co innego, gdy chodzi o przeżywanie tego uczucia — tu już nie sposób współczuć z człowiekiem, w dodatku tej miary co Zan, który z powodu swoich zawodów miłosnych, niemal codziennie jęczy i rozdziera szaty, obrzydza sobie życie i wszystko, co istnieje. „Suszeje i ciemnieje świat”— wywnętrza się filareta. — Obaczyć ją cel dnia największy i najmilszy“. „Wszystkie przyjemności i nieprzyjemości zależą od niej“... „Najwyższa przyjemność mojego bycia zależy od niej. Ile razy nie unika, ile razy czuję się jej bliższy, tyle razy rozkoszne ciepło i elektryczność mnie wzrusza. Wszystko insze nudzi mnie i, jeśli unika, boli, bo wtedy wspominam całą nieszczęśliwą dla mnie przeszłość i ile razy przedstawię sobie jej niekochanie, tyle razy serce napełnia się okropnością, której znieść często nie umiem“... I tak ciągle, w jednostajnym sensie. Doprawdy żal się czuje do tego przywódcy młodzieży ówczesnej, która cierpiała „więzienia i bicia“, że się tak wyzbył hartu ducha i zniżył się do poziomu wzdychającego pazia... Żal ten zwiększy inny dowód słabości Zana, o wiele gorszy. W podaniu do życzliwego mu gubernatora, jen. hr. Suchtelena, w którem prosi o uzyskanie pozwolenia na powrót do kraju, Zan pisze: „Jeżeli zaś jeszcze muszę zostawać na wygnaniu pod nadzorem policji, to — podobnie, jak to mogą już inni członkowie Tow. Filaretów — oczekuję pozwolenia na objęcie posady, aby móc na niej wykazać wierność i gorliwość Cesarzowi, dobroczyńcy naszej Ojczyzny, pracą zaś i rozsądkiem dojrzałego wieku i nieszczęściami, jakie przeszedłem, zagładzić winy i błędy nieobmyślonego porywu młodości”!!! (podanie z lipca 1830 roku). Tu już nietylko cnota filarecka, lecz i godność narodowa została wystawiona na szwank. A przecież żył sobie Zan nie najgorzej w ówczesnym Orenburgu. Na samotność nie był skazany, był wszędzie przyjmowany (u generałów grywał nawet często w karty), pracy i rozrywek także mu nie brakło, książek miał poddostatkiem, przytem odbierał częste wieści z kraju i od towarzyszów niedoli. Można więc było czekać cierpliwie odmiany losu — przetrwać i nie dojść do zaparcia się samego siebie. A jednakże to nastąpiło.

Podobnej słabości ducha żaden z „Kilińczyków“ — o ile wiem — nie ma na swojem sumieniu.

Wprawdzie ich dola była lżejsza, z powodu krótszego czasu wygnania; wprawdzie po manifeście, przyświecała im nadzieja rychłego powrotu, lecz i im życie wśród obcych dawało się we znaki, nostalgja szarpała duszę, a i pokus wszelkich także było nie brak. Duchowo jednak nie słabli i przeniewierstwem żadnem się nie splamili. Byli nawet tacy — o czem również wspomina Dębicki — co nie wahali się wejść w zatarg z władzami miejscowemi z powodu tak drażliwej kwestji, jak składanie przysięgi na wierność nowemu cesarzowi, a znam takich, co umieli tak się postawić, iż jej, pomimo prośby i namowy, nie złożyli.

O odporności duchowej, o wartości charakteru młodzieży, skazanej z powodu rocznicy Kilińskiego, najlepiej jednak świadczy to, że, powróciwszy do kraju, wytężyła siły swoje, by przerwane studja kontynuować i nie dać się wykoleić. Prawie wszyscy uczestnicy manifestacji, zwalczając liczne trudności, studja uniwesyteckie ukończyli i weszli w życie społeczeństwa naszego nietylko z myślą o samych sobie, lecz także by pracować dla niego i lepszej przyszłości narodu. Dziś, wobec tych wielkich zmian, jakim życie w Polsce uległo, ten poryw młodzieży polskiej z przed trzydziestu kilku lat może się wydać czemś bardzo skromnem, co niezbyt zaważyło na szalach losów ojczyzny. Był to jednak poryw dobroczynny, który nie przeszedł bez korzyści dla naszego życia narodowego.

Dobrze więc zrobił jeden z uczestników tego ruchu, że wspomnienia z nim związane utrwalił w książce. A książka ta, owiana ciepłem serdecznych uczuć autora dla współtowarzyszy wygnania, tchnie szczerością, prostotą i prawdą; wyraża dojrzały humanizm jednostki, która kocha wogóle życie oraz ludzi, najwięcej jednak tych, co z nią stanowią jeden naród, humanizm istoty, w której przeszłość nie spoczywa jak skarb zaklęty, lecz przenika żywem uczuciem życie bieżące i staje się siewcą przyszłości.

Zdzisław Dębicki, poeta, krytyk literacki, napisał sporo książek dobrych i użytecznych, jego wszakże niezaprzecznie piękną książką — jest ostatnia: „Grzechy Młodości“.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

NA WIDOWNI

Idea wydajności pracy i kwestja, czy komu na idei zależy.— Moja rozmowa o ideałach robotnika. — Pracowity i waleczny Mazur na bruku warszawskim. — Legendy wysokogórskie w stolicy. — Kwik przy korycie. — Praca i „robota“. — Nie gasić światła wielkich celów!

JEDNĄ z piękniejszych robót wychowawczych, jakie podjęto u nas ostatniemi czasy, jest działalność Ligi Pracy. Mam właśnie przed sobą biuletyn styczniowy tego zrzeszenia. Liga dąży: 1) do szerzenia świadomości, że celowa i wydajna praca obywateli jest podstawą ogólnej pomyślności narodu, 2) wzmożenia w społeczeństwie wydajności pracy oraz popierania prawidłowej organizacji, jako podstawy dobra ogólnego. Zupełnie podzielam ten ekonomiczny punkt widzenia, ale moraliście, który zna stan kultury na wielkich obszarach Polski, im lepiej rozumie możność i potrzeby zwiększenia wydajności naszej pracy, tem natarczywiej nasuwa się kwestja: Bardzo to pięknie, ale co zrobić, żeby ludziom zależało na „ogólnej pomyślności narodu" i na „dobru ogólnem", na tych rzeczach, które są wystawione jako cel ostateczny wysiłku pracy wydajnej?

To jest wielkie zagadnienie, bo zagadnienie duszy pracy. Wszystko inne jest techniką. Cały historyczny proces rozwoju kultury pracuje na to zagadnienie. Wszystkie funkcje społeczeństwa, państwa i kościoła muszą zmierzać do takiego wychowania obywatela, aby mu zależało na pomyślności narodu i aby do tej idei moralnej umiał ustosunkować się czynnie. Lidze Pracy o tyle dobrze będzie się działo, o ile wychowanie moralne będzie postępowało. O, bo gdy komu na czemś zależy, wtedy wszystkiego się nauczy! Ale co Liga Pracy pocznie z robotnikiem, w celu przekonania go, że wydajność jest cnotą pracy, gdy on, jak ów bohater „Na dnie" Gorkiego, odpowie:

— Co mi kto może zrobić, kiedy ja niczego nie chcę!

Nie mogę się powstrzymać, aby nie opowiedzieć rozmowy, którą ubiegłego lata prowadziłem z przedsiębiorcą, odnawiającym moje mieszkanie. Wpadł w jakieś poniedziałkowe południe popatrzeć, jak wygląda rozpoczęta już od paru tygodni robota.

— Nie przyszli robotnicy — powiadam z wyrzutem.

— Jakże mieli przyjść? Przecież to poniedziałek. Pospadaliby z drabiny...

Porządny — dodam — majster, solidny i roztropny. Sam całe życie pracował, więc wyrozumiały. Mówi po warszawsku: sufita, kolora. Taka ma być z łacińska liczba mnoga sufitu i koloru.

— Panie, jak oni piją! Weźmie odemnie 80 złotych — w poniedziałek nic niema. Taksówka panie: rzuca pięć złotych, reszty nie bierze. Używa. Co robić — dodał sentencjonalnie — robotnik musi wypić. Powiem panu całą prawdę. Dla mnie lepszy taki, co pije, od takiego co nie pije.

Wyraziłem zdziwienie.

— A tak. Bo taki co pije, to robi panie, w rękach mu się pali; a taki, co nie pije, to się tylko szwęda — żadnego panie ognia w nim niema.

— Czemże pan to tłumaczy?

— Taki, co pije, to, proszę pana, wie, że jak przyjdzie sobota, to użyje, a temu wszystko jedno.

Zrozumiałem, o co chodzi. Ten, co pije ma w życiu jakiś cel, wie na co pracuje, ma ideał. Człowiek zaś trzeźwy pracuje, bo musi, ale bez żadnego entuzjazmu. Miałem dosyć tej rozmowy. Majster wszakże ciągnął dalej:

— I to porządne chłopy! Ten, wie pan, co tak ładnie gwizda przy robocie — on za trzech zrobi. I to panie wogóle są dobrzy ludzie, do rany takiego przyłożyć, jak się wyśpi.

— Oni mnie — ciągnął dalej — teraz za łeb trzymają, bo to lato i wiele roboty. Ale jak przyjdzie zima, to ja ich... — I tu zrobił gest gniotący do ziemi.

Ja wtedy:

— Skoro ich pan tak lubi, to nie mógłby pan wejść w położenie ich rodzin i w sobotę wypłacić zarobek żonie takiego pijaka? Pan wie — dzieci głodne, nędza...

— Ni-gdy! O panie, na to ja za mądry! Ładniebym ja wyglądał, ładnieby wyglądała robota!

— Wydajność niby...

— Aha.

Rozmowa ta zapadła mi w duszę. W dodatku nazajutrz po niej robotnik, który tak ładnie gwiżdże, powiada do mnie:

— Ciekawym, ile też stary wziął od pana za to malowanie. My robimy już dwa tygodnie, ale gdybym tę robotę wziął na siebie, zrobiłbym ją w trzy dni — sam jeden. Słowo uczciwości. Jak pan będzie potrzebował kiedy, to niech mi da znać. Za trzecią część tego, co stary bierze.

Wierzę mu, bo Mazur doskonale umie pracować, jeżeli ma „ideał".

Święty Boże, ile ten Mazur się napracował, zanim puszcze w tej nizinie Mazowieckiej wytrzebił, wykarczował i uprawił, het od jezior pruskich i na południe i na wschód — wzdłuż rzek, moczarami, piaskami. Stały tu bory posiane wiatrami wschodniemi na tundrach polodowcowych, znanych tylko mamutom. Jednego takiego z włosem wykopano teraz; wystawiony będzie w Akademji krakowskiej, jako okaz mieszkańca Polski przed Mazurem. Mazur poradził sobie i z drzewami i z resztkami zwierząt stepowych, wynalazł smołę, dziegeć, sam się cywilizował i robił to z młodszą bracią litewską, którą wraz z żubrem zachował na wschodzie. Przywiązał się głęboko do religji katolickiej, stawał jak rycerz w każdej potrzebie, *defensor Mariae*, no i — *Reipublicae*. Przeniósł stolicę do siebie i wiele krwi na tych rozłogach piaszczystych wylał w jej obronie. A krew jest też wydajna, o ile ofiarowana mądrze.

Mazur gwiżdże pięknie na bruku warszawskim, ale co mu daje wielka cywilizacja, gdzie liratom ściany maluje i dygnitarzom? Wulgaryzację idej socjalistycznych, odbierającą jego pracy wszystkie motywy moralne, a pozatem wielkomiejską dzikość zatłoczonej pustyni, w której im ciaśniej od ludzi, tem samotniej i bardziej złowrogo. Ileż jaśniej kwitła jego dusza w boru i na piaskach pól! Idźcie sprawdzić na Kurpiach.

Gdym teraz czytał okólnik p. premjera Bartla, adresowany do urzędników (!), ale wycelowany do dygnitarzy, rozporządzających funduszami dyspozycyjnemi, aby nie pili, nie hulali i nie dawali złego przykładu, — to sobie myślałem o moich malarzach, o pustych w poniedziałek drabinach, o wydajności pracy i o — ideałach.

Na ziemi nisko bywa błotniście, ale najgorsze zło, gdy ciekne z góry i ściany rozkłada. Jakby

Bóg odmówił poszycia nad głową, tak się dzieje, gdy inteligencja nie zrobi z siebie należytego nad społeczeństwem sklepienia. Gdzież szukać, jak nie tam u góry tego zjawiska, że ideały (dłuższe, niż te od wtorku do soboty) są pracy ludzkiej natchnieniem?

Góra nie zdaje sobie z tego sprawy, że ją widać z dołu, że ją słychać, że niziny żyją pogwarką o tem, co się w górze dzieje. Na przedmieściu wieści z góry przybierają postać legend zbójnickich, budzących podziw, a niekiedy adorację polityczną.

Są całe cykle opowiadań o pijatykach i orgjach. Jedna z ostatnich budzi powszechne zaciekawienie, bo gra w niej rolę „spluwa". Pijany pan, wielki pan, zeszedł w knajpie do piwnicy i tam strzelał do beczek z winem. Te oczywiście tryskały. A gospodarz zebrał, co się należy, w rachunek dyspozycyjny w wysokości 30 tysięcy złotych. Niechże się schowa jakiś malarz ze swemi 80 złotemi — aż wstyd!

Czy ten człowiek z przedmieścia uwierzy, że praca tego pana ze śródmieścia jest wydajna, a zwłaszcza celowa, że pomyślność narodu ma na względzie, dobro ogólne? Nie: On słyszy idący od góry kwik, on tyle wie, że tam jest koryto i wielka radość a używanie, i że to się nazywa: radosna twórczość. Niechże i on ma radość w sobotę, przynajmniej, kiedy tam — codzień mają.

Nieco beznadziejna to rzecz mówić w Warszawie w takiej legendarnej atmosferze o pracy, gdy u dołu i góry słychać raczej o „robocie" w cudzysłowie kryminalnym, o robocie na sucho i na mokro, gdy tu i tam mowa o „majchrach" i „spluwach" w kieszeni, gdy ambicje narodowe, ukazujące cel pracy, gorszą i są ścigane, a zasady religijne w kulturze i wychowaniu wydają się zbędne, gdy wszystko wobec koryta jest poczytane za rupieć.

Piszę się całkowicie na motywy ekonomiczne haseł Ligi Pracy, ale sądzę, że bez uzdrowienia moralnego pojęć i stosunków od góry do dołu, dopokąd nie rozbłyśnie w duszy wielki cel „pomyślności narodu", trudno będzie dogadać się z ludźmi o potrzebie wydajności pracy, wogóle o potrzebie pracy.

DIGAMMA

WYCHOWANIE NARODOWE

NIEMCZYZNA W NASZEM SZKOLNICTWIE

STAN nauczania języków w Polsce staje się już dzisiaj kwestją, daleko wykraczającą poza takie czy inne wykonywanie programu szkolnego, staje się sprawą, która ciąży nad całą przyszłością szkolnictwa. Stan ten jest zły, zgoła katastrofalny i to z różnych powodów.

Młodzież nasza uczy się języków obcych mało, gdyż ograniczono ją przeważnie do jednego tylko języka, a liczbę godzin w niektórych typach szkół śmiesznie skurczono (np. seminarja nauczycielskie). Ponadto uczy się ich młodzież źle, gdyż z każdym rokiem zmniejsza się liczba nauczycieli, biegle władających językiem obcym, a nowi nie przybywają.

Co najgorsza jednak, młodzież uczy się niewłaściwie języków, organizacja bowiem nauczania języków obcych w Polsce jest całkowicie bezplanowa, a wybór języka pozostawiony jest niemal na los przypadku, co w praktyce doprowadza do spontanicznego faworyzowania języka niemieckiego. W teorji uczy się bowiem w naszych szkołach jednego z trzech języków obcych: angielskiego, francuskiego lub niemieckiego; w praktyce jednak języka angielskiego prawie wcale niema, język francuski w szkołach topnieje, natomiast z roku na rok zwiększa się liczba szkół, uczących samego tylko języka niemieckiego.

Jak dalece to bezmyślne popieranie niemczyzny w szkołach zaciążyć może nad przyszłością naszej kultury i nad drogami naszego rozwoju ekonomicznego, nie potrzeba chyba dowodzić. Ważnym tym problemem zajął się z punktu widzenia wychowania narodowego p. A. Ryniewicz w niezwykle ciekawym artykule, który ukazał się w ostatnim numerze „Kwartalnika Pedagogicznego", naukowego organu Chrześcijańsko Narodowego Stowarzyszenia Nauczycieli Szkół Powszechnych [1]). Fakty i myśli zawarte w artykule powinny zdaniem naszem wywołać szerszą dyskusję w prasie, nie tylko pedagogicznej, obchodzą bowiem wszystkich obywateli.

P. Ryniewicz stwiedza to, co wyżej zaznaczyliśmy, a mianowicie fakt coraz większego rozszerzania się języka niemieckiego w szkołach. Stwierdza to na podstawie własnych, rozległych obserwacyj, a częściowo na podstawie statystyki. Objaw ten idzie zresztą w parze z rosnącym u nas coraz bardziej wpływem kultury niemieckiej, oraz z niemiecką ekspensją cywilizacyjną i ekonomiczną. W przekonywającym wywodzie przedstawia autor grozę takiego stanu rzeczy, podkreślając słusznie, że nigdy, nawet za czasów dawnej Rzeczypospolitej nie było między nami a Niemcami takiej dysproporcji sił, jak obecnie:

> „Jeżeli bowiem w XVIII wieku Polska była słaba, to nie mniej i naród niemiecki, rozbity na szereg wzajemnie zwalczających się państewek, nie mógł być tak groźnym sąsiadem, jakim jest obecnie. kiedy zjednoczenie całego narodu niemieckiego, osiadłego w centrum Europy, jest prawie spełnione, bo połączenie Austrji duchowe jest już faktem dokonanym".

Autor zna i szanuje kulturę i naukę Niemiec, wskazuje jednak, że obecna przewaga niemczyzny w naszych szkołach nie tylko kryje poważne niebezpieczeństwa dla naszej kultury, ale jest również bardzo wyraźnem lekceważeniem naszych obowiązków sojuszniczych wobec sprzymierzonej Francji. Faktem jest, że w niepodległej Polsce uczymy się języka francuskiego stosunkowo mniej, niż za rządów zaborczych, mimo szeroko głoszonej sympatji dla Francji i kultury francuskiej. Jeżeli zdajemy sobie sprawę z niebezpieczeństwa przewagi kulturalnej Niemiec w życiu duchowem Polski, a równocześnie z wysokiej wartości kultury francuskiej i z ważności zacieśniania węzłów, łączących nas ze światem romańskim, to powinniśmy chyba dążyć do odgrodzenia się od wpływów kulturalnych niemieckich i wyzyskać w tym celu także wpływ państwa na szkołę.

Zachodzi pytanie, jak tego dokonać; czy możliwa jest celowa polityka władz szkolnych w dziedzinie nauczania języka obcego przy obecnym systemie dowolnego wyboru języka przez rodziców dzieci w szkołach średnich? Autor jest zdecydo-

[1]) „Kwartalnik Pedagogiczny" nr. 1 z r. 1930 — A. Ryniewicz „Wybór języków obcych w naszych szkołach, a interesy ogólno-państwowe" str. 17 — 50.

wanym przeciwnikiem zarówno przymusowego uczenia dwóch języków nowożytnych naraz, jak i zasady wolności wyboru jednego z dwu języków, która to zasada na gruncie szkolnym przeradza się w praktyce nieraz w przykrą karykaturę. Jakież więc pozytywne wyjście z sytuacji?

Autor proponuje: 1) wyznaczenie jednego języka obcego, jako obowiązkowego na większych obszarach państwa (obejmujących np. po parę województw), 2) zaprowadzenie nauki drugiego języka obcego, jako nadobowiązkowego wraz z odpowiednią reorganizacją tej nauki, 3) zniesienie obowiązkowej nauki języka niemieckiego, a natomiast narzucenie na zachodzie państwa języka angielskiego, w centrum zaś i na wschodzie języka francuskiego, jako obowiązkowego, 4) język niemiecki należy pozostawić na całym obszarze w charakterze języka nadobowiązkowego.

Gdyby ta koncepcja z powodu przewidywanych trudności miała okazać się narazie niewykonalną, autor proponuje pozostawienie języka niemieckiego, jako obowiązkowego tylko w województwach: krakowskiem, kieleckiem i lubelskiem, wprowadzenie natomiast języka angielskiego w województwach zachodnich i w województwie łódzkiem, języka francuskiego zaś na całym pozostałym obszarze, zamieszkałym przez blizko 50% ludności państwa. Jako języki nadobowiązkowe, zaleca autor prócz niemieckiego także włoski, rosyjski i czeski, ważne dla nas zarówno ze względów ekonomicznych, jak politycznych.

Oto doniosły problem nauczania języków obcych w przedstawieniu autora. Coprawda problem ten jest nietylko doniosły, ale bardzo trudny do rozwiązania. Jesteśmy przekonani, że przewagę języka niemieckiego w szkołach należy przypisać nietyle jakimś planowym tendencjom germanofilskim naszych władz szkolnych, ile ich bezradności wobec braku nauczycieli do innych języków, oraz wobec obfitego zapasu rzekomych „germanistów", to jest poprostu małopolan i nauczycieli pochodzących z dzielnic zachodnich, którzy ongiś za czasów zaborczych sami uczyli się języka niemieckiego i dlatego podejmują się udzielać go w szkole. Całe szkolnictwo idzie więc pod tym względem po linji najmniejszego oporu, bez względu na doniosłe konsekwencje dla ogólnej polityki państwowej.

Konieczne jest przeto ułożenie jakiegoś planu państwowego, a następnie jakaś zdecydowana akcja rządu na korzyść języków francuskiego i angielskiego. O natychmiastowem zniesieniu języka niemieckiego w szkołach nie można oczywiście na razie myśleć, choćby z tego względu, że niepodobna za jednym zamachem pozbawić chleba zgórą tysiąca nauczycieli, udzielających tego języka w szkołach średnich i seminarjach, gdybyśmy nawet brak nauczycieli języka francuskiego i angielskiego chcieli wyrównać jakimś masowym importem sił zagranicznych. Tem bardziej jednak z całą konsekwencją musimy dążyć do ograniczenia niemczyzny, jeśli nie do zupełnego jej wyrugowania ze szkół średnich.

Nasuwają się natomiast poważne wątpliwości, czy celowe jest utrzymywanie nadal nauki języka obcego w szkołach p o w s z e c h n y c h. Wiadomo, że stan nauki języków nowożytnych w szkołach elementarnych jest naogół bardzo marny, a największe trudności organizacyjne przy usiłowaniach planowego rozwiązania sprawy języka nowożytnego w szkolnictwie stanowi właśnie związek programowy gimnazjum ze szkołą powszechną, w której uczy się początków języka obcego. Szkoła powszechna zatrudnia bardzo znaczną liczbę sił nauczycielskich i tu wymiana germanistów na nauczycieli języka francuskiego jest już problemem bardzo trudnym.

Zniesienie nauki języka obcego w szkole powszechnej uprościłoby znakomicie sytuację i umożliwiłoby dość szybkie przygotowanie nauczycieli, potrzebnych do pozostałych kategoryj szkół.

To przygotowanie anglistów i romanistów powinno się stać najważniejszą troską władz szkolnych na najbliższą przyszłość. Bez tego stosunki pogarszać się będą z roku na rok, a za lat kilka Polska stanie się takim samym terenem niepodzielnych wpływów kulturalnych niemieckich, jakim była n. p. przedwojenna Galicja. Za mało myślimy o tem, jakie smutne perspektywy kulturalne otwiera nam bezmyślne trwanie w dotychczasowej sytuacji.

ROMANISTA

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

We Lwowie zmarł po stuletniem bez mała życiu (urodzony 1833 r.) słynny przyrodoznawca ś. p. B e n e d y k t D y b o w s k i. Pochodził z Mińszczyzny, ukończył fakultety lekarski i przyrodniczy w Niemczech. Gdy był adjunktem przy katedrze zoologji w warsz. Szkole Głównej, za udział w powstaniu uwięziony i zesłany do ciężkich robót na Syberji, gdzie przebył do r. 1877. Po powrocie do Polski, wyjechał w podróż naukową na Kamczatkę, z której przywiózł znakomity plon naukowy. Był profesorem we Lwowie do r. 1905. Ogłosił około 200 prac naukowych, kilka wspomnień z wygnania, a przed śmiercią już w r. 1930 wyszedł jego „Pamiętnik".

*

W Warszawie zmarł ś. p. G u s t a w K a m i e ń s k i (pseud. Gamaston) popularny przed wojną powieściopisarz. Ur. 1848 w Siedlcach, w roku 1870 ukończył w Petersburgu technologję. Jako inżynier zajmował poważne stanowiska. Pisać zaczął powieści późno (5 dzieł), wystawił też dwie komedje.

*

Słynna poetka K a z i m i e r a I ł ł a k o w i c z ó w n a, autorka świeżo wydanego tomu poezyj p. t. „Popiół i perły", otrzymała doroczną nagrodą wileńską im. Mickiewicza w kwocie 5000 zł.

*

Na zaproszenie Koła Polonistów słuchaczy Uniw. Warszawskiego autor „Balu w obłokach", S t a n i s ł a w M i ł a s z e w s k i, wygłosił w dn. 31 stycznia odczyt na poły autobiograficzny, na poły recytatorski, w którym zaznajomił słuchaczy ze swoją twórczością poetycką i dramatopisarską. Prelegent wywiązał się z trudnego zadania w sposób, przynoszący mu zaszczyt jako artyście, który potrafił swoją pracę tyle zobjektywizować, że bez skrępowania, pokrywając wyznania humorem, mówił o sobie, jak o kimś postronnym, dobrze sobie znanym. Wieczór był bardzo interesujący.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazała się książka młodego, nieznanego dotąd autora, zasługująca ze wszech miar na bliższe nią się zajęcie. Książką tą jest „S m a k ś w i a t a" (Warszawa, 1930. Dom Książki Polskiej) T a d e u s z a K u d l i ń s k i e g o. Pierwsza to większa praca tego autora, mającego za sobą garść wierszy sportowych, drukowanych po czasopismach, oraz tomik nowel sportowych p. t. „P i e r w s z a m i ł o ś ć p a n n y E l o" (Kraków 1929), które jednak przeszły bez wrażenia, nie zdradzając jeszcze tego męskiego talentu epika i realisty, który się niespodziewanie w „S m a k u ś w i a t a" objawił.

„S m a k ś w i a t a" nazwał T. Kudliński „powieścią biograficzną", opierając główny zrąb jej treści o tło wydarzeń z ostatniej wojny światowej. Wojnę przebył autor na froncie włoskim, jako oficer artylerji austrjackiej. Z przeżyć osobistych, z doznanych wrażeń i zebranych obserwacyj zrodziła się „powieść biograficzna" T. Kudlińskiego.

„S m a k ś w i a t a" pod wielu względami podobny jest do popularnej w ostatnich czasach powieści Remarque'a p. t. „Na Zachodzie nic nowego", z tego powodu niektórzy na-

dali nawet Kudlińskiemu miano „polskiego Remarque'a", pod wielu jednak innemi względami zasadniczo się różni on od niemieckiego autora. Opowiadanie rozpoczyna się od obrazu lat szkolnych bohatera, „dobrego chłopca" Krzysia, zapalonego sportowca i dzielnego harcerza. Przeżycia w skautowskim obozie wakacyjnym, dzięki którym młody chłopiec przyzwyczaja się do znoszenia trudów fizycznych, nabiera hartu i wyrabia w sobie poczucie solidarności koleżeńskiej — stanowią podbudowę jego dalszych losów. Tutaj zaznacza się ideowa wyższość bohatera Kudlińskiego nad bohaterem Remarque'a. Dla tego ostatniego niema powrotu do normalnego trybu życia po wojnie; jest wykolejeńcem, któremu jedynie śmierć przynieść może wybawienie.

Podobnie jak odmienny jest charakter obu bohaterów, tak też różny jest ich stosunek do wojny. Bohater powieści, Krzysztof, po krótkim pobycie w szkole oficerskiej, dostaje się na front. Służba w baterji, czy na punkcie obserwacyjnym, wyprawy dla rozrywki do pobliskiego miasta, miłosne przygody w „domku trzech dziewcząt", potem ofensywa nieprzyjacielska, piekło ognia huraganowego, ciężkie zranienie i transport do szpitala. Obraz ten uwypukla głębokie odczucie psychiki żołnierskiej, dzięki któremu to odczuciu mógł autor stworzyć całą galerję charakterystycznych, żywych postaci.

Na pochwałę talentu autora powiedzieć można, że styl jego wykazuje prawdziwie męskie opanowanie tematu i niezwykle spokojny sposób opowiadania, wolny od wszelkiej frazeologicznej afektacji oraz sztucznego patosu, nawet w scenach samych przez się patetyczno-tragicznych, a więc tem samem usprawiedliwiających pewne podniesienie tonu.

Perypetyj wojennych bohatera dopełniają: wędrówki po szpitalach, gdzie poznaje „różnego rodzaju siostry i braci", wyjazd na rekonwalescencję do Cieplic, wreszcie pokochanie się w panience z „niebieskim beretem". Nie mając jednak środków do utrzymania rodziny, Krzysztof wyrzeka się połączenia ze swą ukochaną. Ale to wyrzeczenie dowodzi tylko jego wartości moralnej, która go uchroni od zmarnowania się w dalszem życiu. Bohater zachowuje hart i energję, a przeszedłszy do życia cywilnego nietylko na jego powierzchni się utrzyma, ale potrafi również zdobyć sobie nowe odpowiednie stanowisko społeczne i nowy warsztat pracy.

Jak się dowiadujemy, T. Kudliński ma na warsztacie drugą powieść, tym razem „ekonomiczną", w której mają być przedstawione dalsze losy Krzysztofa. (R. B.)

*

„Towarzystwo Naukowe Warszawskie" wydało ostatnio zbiór prac „Z dziejów Literatury Polskiej wieku XIX-go" (Tom III-ci. „Wydział Językoznawstwa i Literatury". W tomie tym znalazły miejsce następujące studja: Gabrjel Korbut „Pogromca obskurantów przed stu laty" (tym „pogromcą" jest ks. Jan Gorczyczewski, utalentowany publicysta i poeta, tłumacz między innemi „Satyr" Boileau'a i innych utworów francuskiego pisarza XVII w.); Lucjan Komarnicki „Z historji poczucia piękna przyrody w polskiej literaturze romantycznej"; Andrzej Boleski „Sen srebrny Salomei"; Zofja Szmydtowa „Norwid jako tłumacz Homera"; Narcyza Żmichowska „Dwoiste życie" (jest to pierwszy tekst autorki „Poganki", wydanej p. t. „Biała Róża"); R. M. Blüth „Chrześcijański Prometeusz: Wpływ Boehmego na koncepcję III części „Dziadów" (rzecz jeszcze nieukończona, mająca doniosłe znaczenie dla badaczy genezy „Dziadów"); G. Korbut „Bohdan Zaleski i Stanisław Worcell w Ulmie w r. 1832"; A. Drogoszewski „Kilka dat do życiorysu i działalności pisarskiej Woronicza".

*

W tymże wydziale „Tow. Naukowego Warszawskiego" zaznaczyć należy gruntowną pracę profesora romanistyki na Uniwersytecie Warszawskim Maurycego Manna p. t. „Benedetto Croce, jego estetyka i krytyka literacka" (str. 208). Praca ta nosi charakter przedewszystkiem sprawozdawczy, jest streszczeniem szeregu dzieł i studjów filozofa neapolitańskiego, w których wyłożył on swoje poglądy estetyczne i analizował pod ich kątem widzenia twórczość wielu autorów.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Pawła Morand'a mieć za przewodnika po zawrotnych dzielnicach Nowego Jorku, to gratka niemała. W swojej zaś ostatniej książce *„New-York"* (Flammarion édit.), autor *„Rien que la Terre"* staje się właściwie dla czytelników niezmiernie cennym *cicerone*. Dzięki też niemu zwiedzamy to warjackie miasto w sposób rzeczywiście praktyczny, bo do wiadujemy się, gdzie należy i za jaką cenę się ulokować, gdzie tanio posilić się, gdzie luksusowne spożyć śniadanie. Paweł Morand tłumaczy nam organizację policji i konstrukcję domów amerykańskich; zaprowadzi nas także do osławionego tamtejszego akwarjum i każe podziwiać egzotyczne jego okazy. Pomiędzy zaś niemi króluje t. zw. „ryba czerwcowa", której jednakowoż oryginalne miano brzmi *„jew-fish"*, t. j. żydowska. Jej brzydota jednak, pisze Morand, była taką, iż żydzi nowojorscy wymogli, że ją przechrzczono. Jesteśmy z kolei oszołomieni bajecznie kolorową Broadway, skąpaną o północy w świetle epileptycznie tańczących świateł; kiedy zaś przebudzimy się, to niestrudzony autor-przewodnik, a w tym wypadku i kusiciel zaprowadzi nas jeszcze do dzielnicy giełdowej, gdzie pod nogami przechodniów znajduje się rezerwa światowego złota... Paweł Morand w książce tej zachował właściwy sobie styl błyskotliwy, nieoczekiwaną asocjację obrazów i wrażeń, wprowadzając niekiedy w oszołomienie czytelnika. Panorama nowo-jorska w jego ujęciu zdaje się rzeczywiście oddawać prawdziwą, odtwarzając szalony rytm życia amerykańskiego świata, jego monstrualnych drapaczy i niemniej monstrualnych projektów. Na ich też widok jedni tracą równowagę, inni natomiast nabierają ochoty do równie gigantycznych planów egzystencji i konstrukcji.

*

Pułkownik Dupont (z regimentu Alpinów) wydał książkę: *„Commentari della Vittoria"* — (monografja bitwy pod Vittorio Veneto). Monografja ma charakter popularny, ale jest doskonałą historyczną rekonstrukcją słynnej bitwy. Autor prostuje fałszywy pogląd zagranicy na tę wzorową pod względem strategicznym bitwę. Komenda w tej bitwie była bez zarzutu, wszystko było obmyślane, a po obmyśleniu najwierniej w czyn wprowadzone. Pułkownik Dupont daje obraz (poparty cyframi) gigantycznego wysiłku fizycznego i moralnego Włochów w stałem postanowieniu osiągnięcia zwycięstwa: 14-a armja na Grappie dała 34,5 0 pomiędzy zabitymi i rannymi; heroiczna postawa oddziałów atakujących, rozmieszczonych w dolinie; świetny atak XVIII Korpusu nad Piave, który otworzył przejście wojskom VIII armji, szczególniej kawalerji, by ścigać mogła uchodzącego nieprzyjaciela i zapewniła stałość zwycięstwa. Bitwa pod Vittorio Veneto rozstrzygnęła o losach zwycięstwa włoskiego i zaważyła decydująco na losach ogólnego zwycięstwa aljantów w wielkiej wojnie. Był to prawdziwy wojenny sukces Włoch, świadczą o tem protokuły z dyskusji Ogólnej Głównej Rady Wojennej w Wersalu; świadczą i słowa Conrada von Hötzendorffa, którego nie można przecie posądzać o łaskawą stronność dla Włoch: „Ofensywa włoska pod Vittorio Veneto podcięła nam nogi, obalając nadpsuty już gmach naszego oporu". Tak wyraził się Conrad von Hötzendorff 10 listopada 1918 roku, a zaraz w cztery dni potem generał von Arz pisał: „Włochy mogą się szczycić, że rozbiły Austrję i wygrały europejską wojnę".

*

Do szeregu książek hiszpańskich, poruszających tematy związane z ustrojem państwowym, tak żywe i aktualne obecnie w Hiszpanji, a także poza nią, przybyła nowa *„El estatismo y la civilizacion nacional en los paises civilizados"* (Państwowość a kultura narodowa w krajach oświeconych). Autorem jej jest T. Rodriguez.

SZTUKI PLASTYCZNE

SYNTEZY

Każdy krytyk współczesny, nawet warszawski, zgodzi się na tezę, że krytyka bieżąca ma pewne względem tak zwanej „wieczności" obowiązki, że zatem powinna dążyć do syntezy. Bieżącą nazywa się tylko ze względu na bieg zjawisk, które ocenia, a nie dlatego, że sama obok nich ma biec zziajana. Pomimo nazwy swej krytyka bieżąca powinna stać (no! może i siedzieć...) dość wysoko na trybunach tego boiska, które nazywamy współczesnością. Zależnie od wysokości stanowiska (siedziska...) będzie owa współczesność mniejszym lub większym czasu ułamkiem, zależnie od siły wzroku (albo szkieł od optyka...) zarysuje się mgliściej lub ostrzej, lecz w żadnym wypadku krytyka nie powinna plątać się u boku tego wypadku, bo to nie da się pogodzić z widzeniem i osądem, do których jest powołana i obowiązana.

Chociaż sprawa jest tak jasna i prosta, ostatnie w Polsce dziesięciolecie w dziedzinie malarstwa i poezji nie pobudziło krytyki do zajęcia jakiegokolwiek stanowiska syntetycznego. Przeciwnie, stała się nawet jakoby programem metoda nie tyle analityczna, ile bezwolna i doraźna, od wy-

padku do wypadku biegająca i bacznie strzegąca się pytań: skąd dane zjawisko pochodzi, co je z innemi łączy, co zapowiada i jakie miejsce w sztuce polskiej zajmuje. Milczeniem swojem w zakresie tych pytań krytyka polska godziła się na pogląd, że kultura nasza nie posiada historji i tradycji, że jest przypadkiem, od zmiennych wiatrów że świata zależnym. A właśnie w tym czasie obie sztuki — malarstwo i poezja — gwałtem społeczeństwu polskiemu narzucane, były obce, a podstępnie pod polskiem imieniem występowały. Krytyka, wbrew prawdzie, milczeniem swojem uznawała je za polskie, czem przyczyniała się do szerzenia fałszu i celowego oszustwa.

Należy sądzić, że krytyka bieżąca świadomie unikała wszelkich pytań syntetycznych, te bowiem siłą faktów bezspornych musiałyby ją doprowadzić do odpowiedzi, że obie sztuki tego dziesięciolecia liczebnie i z ducha swego były żydowskie. A że przymiotnik ten jest krytyce polskiej zakazany, pod grozą różnych kar niewymawialny, więc, poczciwa skądinąd, kumoszka miała do wyboru — albo łgać syntetycznie, albo wszelką syntezę fartuszkiem milczenia zakryć wstydliwie. Że wybrała fartuszek, że tem samem zarówno ze strony polskiej, jak też — o zgrozo! — żydowskiej naraziła się na zarzut krańcowego kołtuństwa swego, to świadczy o jej cichem wobec filozofji i estetyki bohaterstwie. Mogła przecie łgać i tańczyć syntetycznie w takt syjońskich cymbałów! A jednak... wybrała milczenie.

Lecz niezupełnie. Ponieważ w ciągu tego dziesięciolecia w zakresie krytyki malarskiej i poetyckiej ja jeden w stolicy zakazów żydowskich nie usłuchałem, na zażydzenie obu sztuk wskazywałem i ostro je zwalczałem, więc kumoszka, że, niby, mącę świętobliwe milczenie, zapalczywie na mnie napadała, nie dostrzegając zapewne, że przez to samo staje w obronie żydostwa. Czego się wtedy od krytyki polskiej nasłuchałem! Widocznie znudzona przymusowem milczeniem ku tamtej stronie, całą swoją złość i (hm!..) temperament na mnie wywarła. Skończyło się to po pewnym czasie, bo zaczęło grozić dla niej skandalem, ale skutek pozostał ten, że, związana swojem wystąpieniem, w jeszcze zawziętsze wpadła milczenie. Nie może już nawet mrugnąć ku mnie przychylnie, bo ma starczą ambicję niezmienności swoich poglądów. Zresztą, dobrze jest pilnowana.

I o cóż tu chodziło? O nic innego, jeno o kilka syntez, które dla obu sztuk tego dziesięciolecia w Polsce z niewątpliwych faktów wyprowadzałem i jasno je wypowiadałem. Pierwsza synteza, że obie sztuki w kierunkach i okazach naówczas reklamowanych nie są polskie, ale kryptożydowskie. Dziesiątki i dziesiątki nazwisk autorów potwierdzają wniosek bez cienia wątpliwości. Druga synteza, że sztukę kryptożydowską znamionują cechy następujące: porkografja, koprolalja, koprofagja, nekroforyzm, plazmatyzm, geometryzm, talmudyzm, cynizm, płaskość, oschłość, bolszewizm moralny i polityczny. Przytaczałem dziesiątki przykładów, a można je gromadzić setkami. Kumoszka doskonale wie, że żadne z moich określeń nie było gołosłowne. Trzecia synteza, że tego rodzaju sztuka, podawana jako plotka i reklamą szerzona, czyni w społeczeństwie polskiem spustoszenie duchowe. To bezpośrednio wynika z charakteru tej sztuki. Czwarta synteza, że sztuka kryptożydowska niczem nie jest złączona ze sztuką, kulturą i historją Polski, ani z duchem, ani z charakterem narodu polskiego w żadnej jego cząstce w przestrzeni i czasie, że, przeto, niema dla niej miejsca w rocznikach kultury polskiej.

Na te i tym podobne uogólnienia moje krytyka polska odpowiadała mi przez pewien czas oszczerstwami osobistemi, kłamstwami i wyzwiskami. Wreszcie zapadła w milczenie. Ale ani jednej syntezy przeciwnej, lub ubocznej, lub jakiejkolwiek wreszcie nie podała i dlatego nikt uczciwy i rozumny z tą krytyką się nie liczy. Owszem, należy ją uznać za cichą wspólniczkę roboty żydowskiej, za unizoną służkę w podziemnej krypcie synagogi, za nieme popychadło wrogów narodu polskiego, za obłudną kukłę purym-balu, obnoszoną przez marszelików, a podczas kopaną przez nich i wyśmiewaną. Nie mówię tu o krytyce polskiej, która jawnie stała i stoi po stronie żydowskiej — różnych panów pucy-boy'ów i maltreterów, czerniących i maltretujących ubogi stan powojennej współczesności polskiej — na rzecz swoich mece, a raczej macenasów. Oni przynajmniej jawnie zarabiają sobie na obustronną pogardę. Ale ci mili, cisi, dwustołkowi, buziawciupki, małdżyrączki, kręcizadki, wiercistopki, łzawooczki, pudrośmieszki, wersaliki arcygrzeczne o petitowych szpadach szpilkowego swego honorku — to jest gatunek! Typ! Sferka! Sforka! Morka tego pokolenia.

Gdyby obyczaj obchodów dziesięciolecia kazał im napisać szkic dziennikarski — zarys historji malarstwa i poezji krótkiego tego okresu w Polsce, byliby w niemałym... ale nie! byliby w bardzo małym kłopocie. Milczenie bywa złotem. Nic nie napiszą, bo niepodobna, aby nie dostrzegli dziś nareszcie tego, co murem litym wyrosło przed ich wstydliwie przymkniętemi oczkami. Syntezy ostateczne, o które każdy z nich głową, jak o mur, uderzył w ciepłej, zresztą, samotni własnej pidżamy. Oni wiedzą teraz, kto miał słuszność, ale przyznania się do do własnego błędu boją się tak samo, jak żyda. Całe ich tchórzostwo i smutna resztka ich uczciwości zamykają im drogę do syntez. Mogą tylko w dalszym ciągu dreptać od wypadku do wypadku z wytrwałością Azorków na smyczy Lejzorków. Tu poszczeka przychylnie, tam się połasi przymilnie, zawsze mówi „jak zwie się, tak zwie się", choć dla pozoru nóżkę podniesie. Bardzo są mili ci milimetrowi krytycy ze środka.

A żydy? Stała się rzecz niesłychana! Żydy w „Wiadomościach Literackich" straciły dowcip. Argumentów nigdy nie miały, ale był czas, że z werwą wymyślały, łajały, wydziwiały. A dzisiaj? Po dziesięciu latach wolnego harmidru? Co to się stało? Kiedy żydowi ginie dowcip, to tak zupełnie, jakby mu w Sądny Dzień w sieni bóżnicznej zginęły pantofle. Dybuk je porwał. Fatalny *omen*. Bardzo zła wróżba. Tem gorsza, że ze strony polskiej nic jeszcze nie zapowiada zguby tak nieprzyjemnej. Jeżeli idzie „coś", to jeszcze daleko, za siódmą górą i za siódmą rzeką. Żydy o „tem" wiedzieć nie mogą. Więc co się stało? Poprostu — żydom się wyczerpało. Nie mają powodu wstydzić się tego. Dziesięć lat bezustannej czujności i „twórczości" w lasach, sasach i hałasach, w izmach i sofizmach, w kłamstwach, fałszach i oszustwach, w karuzeli teoryj, dogmatów, doktryn, poglądów, kierunków, nastawień, suggestyj, hypnoz — od Lenina do św Franciszka, od św. Franciszka do Ehrenburga, od Ehrenburga do Conrada — tam i z powrotem, w niemilknącym jazz-bandzie reklam, dzwonków błazeńskich i wrzasku całej bandy przedsiębiorców... dziesięć lat... to można stracić dowcip.

Każdy żydek „robi" w jakimś „interesie" (tak się to u nich mówi) jeden w drzewie, drugi w damskiej bieliźnie. Ale dowcip mają na odpoczynek. Tu zaś trzeba robić w dowcipie, w coraz nowym dowcipie. To zły towar — nie „standardyzowany", więc w końcu się wyczerpuje. Nieubłaganie musi nadejść chwila dla tych, co robią w atramencie, że zmiękną w temperamencie. I tym, co robią w druku, umilknie huku-puku. I tym, co robią w papierze, zlinieje w piórze pierze. Żydy stanęły wobec próżni własnej, na krawędzi pustki moralnej, nad przepaścią rasowej swej bezpłodności duchowej, zajrzały w nią i... straciły dowcip. Niewątpliwie, Dybuk go porwał. Może to Sądny Dzień, a może, niby ściana lasu birnamskiego w Makbecie, ruszyła na nich wyroczna Ściana Płaczu?

Tak, czy owak, bardzo to trudno wyobrazić sobie pana Ajzyka Słonimskiego „we łzach tonącym". Nawet przy pomocy panów Pompera i Wassercuga. Zanadto się ośmieszyli, by można było ich na serjo brać nawet w zdarzeniu tak dla nich tragicznem, jak utrata dowcipu.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

OFENSYWA

W OBRONIE PLAGJOWANIA

TE i owe Towarzystwa literackie, nadto „Związek Legjonistów" i t. p. wystąpiły „w obronie" W. Sieroszewskiego przywileju do plagjowania rosyjskich autorów. *Habeant sibi*. Odezwał się również w „Czasie" prof. T. Sinko, współpracownik warszawskiego „Kurjera Czerwonego" i uczony, któremu p. J. Stępowski w specjalnej broszurce udowodnił plagjatorstwo. *(Tua res agitur)*. Samemu Sieroszewskiemu zaaranżowano pośpiesznie rehabilitacyjną pogawędkę w „Radjo", rehabilitacyjny odczyt, rehabilitacyjne owacje; ostatnią powieść jego o Panu Twardowskim zaawansowano na arcydzieło, a z autora jej starano się zrobić na gwałt męczennika, cierpiętnika, ofiarę zgóry obmyślanej, „endeckiej" nagonki. Tymczasem plagjat odkrył uczony młody na własną rękę i na własną rękę też inni poszukiwacze i „odbronzowiacze" są już na tropie niestety i innych „zapożyczań" u braci Moskali. Maluczko, a znajdzie się nowy Boy i na tego wieszcza pierwszej Brygady.

Najzabawniej atoli ujął całą smętną aferę fejletonista „Słowa", organu wileńskich żubrów, „oktrojalistów", konserwatywnych rewolucjonistów, zwolenników nowego zamachu a byłych kataryniarzy. Konstatując spokojnie, że „sędziwy pisarz zamieścił parę ustępów, żywcem wziętych z jakiegoś pamiętnika", tak nieco z niedźwiedzią gracją wziął w obronę takie „żywcem wzięcia":

„Sieroszewski odpowiedział listem otwartym, który chyba nikogo nie przekonał: wyjaśnił to i owo, powoływał się na to i tamto, wygłosił parę górnolotnych frazesów, wreszcie oświadczył, że z hołotą polemizować nie będzie. Istotnie trudno by mu to było zrobić: dowody endeckie są namacalne. przekonywujące, Sieroszewski nie miał nic konkretnego do powiedzenia. Więc co z tego? Uważając nawet za fakt niezbity, że część przez nikogo od 50 lat nieczytanej książki dr. Piaseckiego, znalazła się w czytanej przez bardzo mało kogo książce Sieroszewskiego, kto i o co może tu mieć jakieś pretensje? Komu szkodzi taka regeneracja? Trzeba zdać sobie sprawę z ilości dzieł, napisanych przez Sieroszewskiego, z ich objętości, różnorodności. Człowiek, który całą szafę wypełnia wytworem swego pióra, przepisuje jakieś ramoty nieznanego podróżnika, bo go nie stać na własne ujęcie, bo nie potrafiłby „swojemi słowami" opowiedzieć tego samego! Co za nonsensa! Źle się robi słysząc takie posądzenia. Trzeba być naprawdę potężnie ograniczonym, by robić Sieroszewskiemu jakikolwiek zarzut z tytułu pożyczenia od Piaseckiego paru zdań. To tak jakby profesorowi uniwersytetu, który wyczytał w zeszycie wstępniaka niegłupi urywek i zamieścił go w swem dziele — robiło się potem zarzuty plagjatu. Miałby doprawdy kto od kogo! Jeśli Sieroszewski uznał wypociny Piaseckiego za dość dobre, by nie trudzić się na komponowanie czegoś lepszego — no to cały zaszczyt i przyjemność po stronie tamtego".

Jak widzimy jest to czysta humorystyka w obronie brudnawej afery. Czy to „zaszczyt" i „przyjemność" taka „regeneracja", to rzecz względna. Nazywać to zaraz „ramotami" i „wypocinami" to rzecz brzydka. Nie można atoli pisać, że w „czytanej przez mało kogo książce Sieroszewskiego", gdyż pech chciał, że właśnie tego „Djabła Zamorskiego" (Yang-Hum-Tsy) tłumaczył na francuski język B. Kozakiewicz. I dlatego kompromitacja jest ciężkiego kalibru.

Nie należy atoli zatajać, że całą tę grubo nieprzyjemną historję sprowokował sam Sieroszewski swoim trywjalnym wywiadem w „Czerwoniaku", wydęli zaś jego niepoczytalni polityczno - partyjni apologeci z pism i szmat sensacyjno-sanacyjnych.

Cokolwiek jednak jeszcze wygrzebią uczeni, podrażnieni wyzwiskami Sieroszewskiego od „hołoty" i t. p., autor „Na kresach Lasów" pozostanie w literaturze, jako świetny pisarz i narrator z lat przedwojennych, który i bez „zapożyczeń" u Moskali mógł się spokojnie i zwycięsko obyć. Przezywanie natomiast jego ostatniej powieści „Twardowskiego" arcydziełem „na złość endekom" — jest zwykłem sobie błazeństwem i oszustwem.

„ARCHIWUM NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI"

POD TAKIM tytułem organ pułkowników i „łamaczy kości" wprowadził stałą rubrykę, do której jakiś domowy archiwista (czy nie dr. Lipiński?) znosi dzień w dzień krótkie wycinanki z dawnych roczników „Gazety Warszawskiej" z lat 1914 i 1915, mające stwierdzić orjentację filorosyjską Narodowej Demokracji i „kompromitować" doszczętnie Endeków. Rubryczka prowadzona jest tandetnie i mizernie. Czemu to lubusie nie drukujecie w „Archiwum niedawnej przeszłości" olbrzymich tasiemców komandora Ehrenberga? a mowy prezesa Lednickiego? a p. Steckiego? a p. Meysztowicza? a niejakiej Zadory-Paszkowskiego z „Czasu" wypocinki w „Dzienniku Kijowskim"? I t. p.

Oczywiście możnaby się „Gazecie Polskiej" „zrewanżować". Wprowadzić takie samo „Archiwum" z niedawnej przeszłości, przedrukowywać centuarami te oleandrony, które wypisywali w eukaenowskiej i legjonowej prasie i te ohydy w berlińskich *„Polnische Blätter"* i w wiedeńskiej *„Polen"* i te lizania butów Wilhelma i te telegramy brygadjerów do arcyksiążąt i te umowy Sokolnickiego z Sauberzweigiem i te poezje niemieckie ku czci Legjonów (cały tom), i te mowy do Beselera i t. p. paskudziarstwa? Ale kogo to bawi? I kogo to już nie nudzi, to smarkateryjne pieniaczenie się o orjentacje wojenne. Mam pod ręką w rękopisie cały II-gi tom „Dokumentów Historycznych od 1915—1919", a nie wydaję tego poprostu z obrzydzenia do samego materjału i by nie kompromitować nas wszystkich razem przed sojusznikami. Cały tom. Gruby tom. A leży. Bo wstyd poprostu, no i *pro publico bono* leży. Nawet grzebać się w tem człowiekowi niechce i drażnić w zabliźnionych ranach. Ale cierpliwość i wyrozumiałość ma swoje granice. Rubryka „Gazety Polskiej" jest nudna, jak flaki z olejem. Nie ożywia też i nie galwanizuje pisma, które bez Stpicza i bez kłótliwych i swarliwych Machabeuszów prezentuje się jak noc poślubna i miodowe miesiące impotenta. „Archiwum" przytem nie dowodzi absolutnie niczego, jak tylko tego jednego, że Polskę przed germanizacją uratowały w y ł ą c z n i e i j e d y n i e:

działalność R. Dmowskiego i jego ludzi;
deklaracja posła Jarońskiego w Dumie;
memorjał złożony Izwolskiemu;
passywna postawa społeczeństwa wobec planów i kuszeń berlińskich oraz opór aktywny wobec intryg krakowskich i socjalistycznych cesarskich germanomanów.

Drukujcież więc sobie nadal stare dzienniki, swoje wyiskane perełki, a doczekacie się wnet drugiego tomiku „Dokumentów Historycznych", po którym wam zrzednie mina, nos się spuści na kwintę, a rumieniec wstydu okrasi liczko.

Archiwum wasze jest atoli mizerne i tandetne. Zobowiążcież się złożyć osiem miljonów złotych na wodopłat (hydrawion) wojenny imienia Romana Dmowskiego, a dostarczę wam takich wycinków do tego „Archiwum", że mi odwrotną pocztą przyślecie komandorję i dacie resztówkę pod lasem w Sulejówku.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Ze sprawozdania komisji budżetowej Sejmu wypisujemy parę cyfr, świadczących o wzrastaniu kosztów utrzymania.

W budżecie na rok 1926 budżet Prezydenta Rzplitej wynosił 1.948.000 zł. w tem uposażenia Prezydenta 108.000 zł.

W budżecie na r. 1930 owa kwota jest preliminowana na 4.578.896 zł., w tem uposasażenie Prezydenta — 300.000 zł.

Sprawozdanie komisji przytacza cyfry porównawcze budżetów prezydentów innych państw w przeliczeniu na złote. Cyfry te z uwzględnieniem rozmaitych wydatków na reprezentacje, rezydencje, samochody i t. d. są następujące:

Polska	4.578.896 zł.
Czechosłowacja	3.934.820 „
Stany Zjednoczone	3.898.000 „
Francja	1.379.000 „
Niemcy	2.000.000 „

Cyfry te chlubnie świadczą o zamożności i dumie narodowej Polaków, dbających o godną reprezentacje państwa. Ponieważ Sejm nie zawsze dociągał się do szczytnego pojmowania budżetu, więc B. B., któremu historja powierzyła honor Polaków, o to właśnie stacza walkę z sejmowładztwem i z Izbą Kontroli.

*

Protest adwokatów w sprawie b. ministra Cara, który pragnie zapisać się do korporacji adwokatów, spotkał się z aprobatą uczciwej opinji społeczeństwa. Prasa konserwatywna prorządowa „Dzień Polski", „Czas" wyjaśnia adwokatom, że nie mają nawet poczucia tego, co to jest adwokatura.

— Adwokat — powiadają — jest nie obrońcą prawa, lecz interesów klijenta. Pan Car bronił interesów państwa i w swej roli ministra był już adwokatem. Takiego klienta nikt w adwokaturze nie miał. Pan Car tedy robi zaszczyt adwokaturze, że do niej chce wstąpić. Adwokaci nie umieją ocenić zaszczytu, jaki na nich spływa.

A na to zdrowy rozsądek powiada:

— Największem dobrem klienta pana Cara, owego państwa, którego on bronił (przeciwko komu?) była p r a w o r z ą d n o ś ć. Adwokat ją niszczył, za to mu cofnięto plenipotencję. Adwokaci nie chcą mieć między sobą kolegów, którzy niszczą swoich klientów.

TREŚĆ: Poszerzenie Polski *J. Rembielińskiego.*—O pojmowanie Polski *I. Kozielewskiego.* —Racjonalne—irracjonalne *K. L. Konińskiego.* — Z minionych lat *Wł. Jabłonowskiego.* — Na widowni *Digammy.* — Wychowanie narodowe *Romanisty.* — Nauka i literatura. — Sztuki plastyczne *St. Pieńkowskiego.* — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administacji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57, Zielna 47 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.